Dziś 12 stron

Cena 8 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 24 lutego 1946 r. | Nr 8 (65)

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

„Łudziłem despotę...”

Mickiewicz a dekabryści

Minęło sto dwadzieścia lat od chwili, kiedy dnia 14—26 grudnia 1825 roku zagrzmiały na Placu Senackim w ówczesnej stolicy Rosji, Petersburgu, salwy artylerii wymierzone do wyprowadzonych z koszar i ustawionych na placu, przez młodszych oficerów częściowo zbuntowanych, częściowo zaś obałamuconych pułków gwardii.

Chaos organizacyjny nadający całemu wystąpieniu raczej charakter dyletanckiej improwizacji niż należycie we wszystkich szczegółach przemyślanej i fachowo przeprowadzonej akcji, a nade wszystko — brak u góry kierowniczej silnej ręki, — wszystko to spowodowało, że zarówno owo petersburskie wystąpienie z dnia 14—26 grudnia, jak i późniejsze próby wzniecenia zamieszek i buntów w szeregach oddziałów stacjonowanych na terenie prowincyj południowych, zostały od razu stłumione, główni spiskowcy zawiśli na szubienicy, pozostali zaś, zależnie od stopnia udowodnionej im winy, skazani na dłuższe lub krótsze ciężkie roboty w kopalniach syberyjskich, na osiedlenie itp.

Mimo to niepowodzenie całość omawianej akcji, noszącej w historii ruchów rewolucyjnych rosyjskich nazwę „powstania dekabrystów”, nie pozostała bez wpływu na dalszy rozwój tych ruchów. Echa salw grudniowych dadzą się słyszeć we wszystkich późniejszych tego rodzaju wystąpieniach: w huku bomb zamachowców, w epopei pancernika „Kniaź Patiomkin” i w innych epizodach rewolucji 1905 roku, w strzałach oddanych do tłumów prowadzonych przez o. Hapona i w rewolucji lutowej 1917 roku i wreszcie w rewolucji październikowej. Już z tego chociażby względu warto przypomnieć sobie dziś, choć pokrótce historię powstania, w którym — po raz pierwszy w dziejach nowożytnego państwa rosyjskiego — znalazł swój wyraz, przez długie lata w piersiach ludu i inteligencji rosyjskiej tłumiony, święty gniew spowodowany despotycznymi formami rządów carskich. Następnie, spisek dekabrystów był ruchem równoczesnym i mającym sporo cech wspólnych z działalnością tzw. „Towarzystwa Zjednoczonych Słowian”, organizacji usiłującej po raz pierwszy zrealizować idee słowianofilskie, jak o tym pisał niedawno na tym miejscu H. Batowski. Dalej, w ramach politycznego programu dekabrystów wyciągnięte zostały ku zgodzie, ponad głowami rządów, dłonie reprezentantów dwu odwiecznie wrogich sobie narodów: polskiego i rosyjskiego. Wreszcie, jak wszystko zdaje się na to wskazywać, w pracy potajemnej dekabrystów brał był jakiś, bliżej nam jeszcze nieznany, udział sam Mickiewicz. Z tych wszystkich względów dekabryści uosabiają ruch niezmiernie blisko i żywo nas interesujący.

Źródeł jego szukać trzeba w wiekowym uciemiężeniu narodu rosyjskiego przez despotycznie rządzących władców Moskwy i Petersburga; okresem przełomowym stał się tu pobyt, po rozgromieniu Napoleona, okupacyjnych wojsk rosyjskich na terenie państw zachodnio-europejskich, zwłaszcza zaś — na terenie Francji. Już nie tylko oficerowie, lecz i zwykli szeregowi, mieli możność przyjrzeć się dokładnie różnicy, jaka istniała w całym układzie wewnętrznego życia tych konstytucyjnie rządzonych krajów i ich nieszczęsnej ojczyzny. W czasie tego pobytu za granicą nawiązano również kontakty z tajnymi związkami francuskiej i niemieckiej młodzieży akademickiej i wojskowej, i postanowiono wszcząć podobną akcję po powrocie do kraju. Istotnie też zaczynają po Kongresie Wiedeńskim powstawać w Rosji stowarzyszenia tajne, jako to: Związek Zbawienia, przekształcony następnie w Stowarzyszenie Pomyślności, a dalej dwie niejako wersje przyszłych „dekabrystów” czyli „grudniowców” (od miesiąca czynnego ich wystąpienia: grudzień po rosyjsku — diekabr): Towarzystwo Południowe i Towarzystwo Północne oraz wspomniane Towarzystwo Zjednoczonych Słowian.

Początkowo związki te łudziły się, że zdołają zrealizować swe idee na drodze zgodnej współpracy z Aleksandrem I, oficjalnie w pierwszych latach swego panowania deklarującym się na rzecz przeprowadzenia gruntownych zmian w dotychczasowym ustroju i systemie rządzenia Rosji. Gdy jednak zorientowano się, że były to jeno piękne frazesy, postanowiono działać na własną rękę. Program dekabrystów przewidywał między innymi obalenie tronu, zgładzenie bądź też wywiezienie za granicę cara wraz ze wszystkimi członkami jego dynastii i wprowadzenie konstytucji opartej o daleko idące reformy polityczne i społeczne. Przewidując wielkie trudności, zaraz w początkowym stadium realizowania tego programu postanowiono uzyskać częściowe choćby współdziałanie ze strony Polski, której w zamian za to przyrzec miano niepodległość. W tym celu zwrócono się do przedstawicieli tajnych organizacji polskich i miano z nimi, poczynając od roku 1823, szereg konferencyj odbywających się rok rocznie w czasie słynnych „kontraktów” (jarmarków) kijowskich. Konferencje te nie dały jednak pozytywnych wyników. Obie strony zachowywały względem siebie wyraźną nieufność i powściągliwość. Ze strony rosyjskiej żądano, aby Polacy, z chwilą wybuchu w Rosji powstania, udaremnili w. ks. Konstantemu ewentualną próbę przyjścia z odsieczą carowi Aleksandrowi, jak również, aby przeszkodzili członkom rodziny carskiej przedostać się przez teren Królestwa za granicę. Polacy nie dawali żadnych wiążących przyrzeczeń tłumacząc się brakiem odpowiednich pełnomocnictw, a ze swej strony żądali dla siebie całkowitej niepodległości oraz zwrotu tak zwanych „gubernij zabranych”, na co strona rosyjska dawała mocno niewyraźne „głuche” odpowiedzi. Pestel jedynie, niejako na własną odpowiedzialność, udzielił stronie polskiej przyrzeczeń, do których jednak ta dawała się przywiązywać niewielką wagę.

Oceniając rezultat owych rokowań z perspektywy czasu, żałować wypada, że z naszej strony nie umiano, czy też nie chciano ocenić korzyści, jakie dla sprawy niepodległości mogłoby mieć wspólne z rosyjskimi spiskowcami wystąpienie. Kto wie, jakby była wyglądała w tym wypadku sytuacja ówczesnej Rosji carskiej zagrożonej ponadto ze strony Turcji. Być może, iż chwila odzyskania niepodległości w roku 1918 nastąpiłaby o sto blisko lat wcześniej... W każdym razie szanse powodzenia byłyby wówczas bez porównania większe niż w czasie zaledwie o parę lat później podjętej, w okolicznościach całkowicie beznadziejnych, akcji listopadowej.

Wracając do dekabrystów, siedzibą ich Towarzystwa Północnego był Petersburg. Główną postacią na tym terenie był początkowo pułk. Pestel, następnie zaś poeta Rylejew i cały szereg innych wybitnych członków, jak niefortunny „dyktator”, ks. Trubecki, jak Bestużew, Gorski, Kachowski, ks. Oboleński, ks. Bariatyński, senator Krasnokutski.

Towarzystwo Południowe obejmowało kilka gromad (obszczin), z których główna mieściła się pod samym bokiem dowództwa naczelnego drugiej armii w Tulczynie. Główne rządy sprawował tam ostatnio Pestel, innymi zaś wybitnymi członkami byli: dwaj bracia Murawiewowie-Apostołowie, Dawydow i inni.

Zaznaczyć należy, że co do celów i projektowanych metod postępowania, istniały pomiędzy obu towarzystwami liczne, zasadnicze nawet różnice, które w chwili decydującej stały się jedną z przyczyn niepowodzenia. Towarzystwo Północne wykazywało więcej umiarkowania, Towarzystwo Południowe — rwało się do akcji wybitnie rewolucyjnej.

Decyzja co do konieczności dokonania zamachu na życie cara powzięta została na zjeździe spiskowców w Moskwie w roku 1820. Odtąd parokrotnie wyznaczano i odkładano termin wykonania tego postanowienia. Miano porwać i uwięzić cara i jego otoczenie przyboczne w czasie pobytu jego w Bobrujsku, w roku 1823, lecz projekt ten nie doszedł do skutku. Ostatecznie postanowiono dokonać zamachu w roku 1826 w czasie manewrów letnich na południu Rosji. Otrzymanie jednak poufnych wiadomości, iż znaleźli się już zdrajcy, którzy donieśli Aleksandrowi o szykującym się na jego życie zamachu, i że lada dzień tajemnice spiskowców mogą zostać ujawnione, a oni sami — aresztowani, nakazało termin zamachu przyśpieszyć. Jak wiadomo, do zamachu nie doszło, Aleksander bowiem zmarł tymczasem w Taganrogu naturalną, czy jak chcą inni, fikcyjną tylko śmiercią.

Jakże na tle powyższego przedstawiała się sytuacja „wygnańców” wileńskich, w szczególności sytuacja samego Mickiewicza?

W przedstawieniu dotychczasowym biografii pierwszy rok pobytu poety na wygnaniu odmalowany nam został jako okres niefrasobliwego prześlizgiwania się po powierzchni życia, jako swego rodzaju „tournée” artystyczne obnoszonego na rękach głośnego już autora „Ballad i romansów”, „Dziadów cz. IV” i „Grażyny”, jako też porywającego improwizatora zbierającego hołdy swych polskich i rosyjskich słuchaczy, a zwłaszcza słuchaczek, i w tym, beztroskim na ogół i tryumfalnym pochodzie, szlifującego posadzki wielkopańskich salonów i... sypialni. Niekiedy — jakieś przelotne zachmurzenie, jakiś zawód miłosny ze strony owej zagadkowej „D. D.”, którą nie mógł rzekomo być nikt inny, jak tylko pani Karolina Sobańska; niekiedy — głębsze może i dłużej trwające zadumanie pod wpływem wspomnienia Litwy i Maryli. Ale od czegoż niezliczona rozmaitość rozrywek wielkomiejskich? Od czegoż feeryczne „pikniki” wieczorne na pokładzie zakotwiczonego w zatoce odeskiej jachtu? Od czegoż wycieczka do Akermanu i do położonej wśród stepów Lubomiły? Od czegoż wreszcie owa słynna, w artystyczno-towarzyskich celach przedsięwzięta, wyprawa na Krym, gdzie to i cuda przyrody, i pomniki wspaniałej przeszłości, i „obok piękne lice”? Rezultat artystyczny tego okresu, to szereg drobnych, wysokiej zresztą bardzo klasy utworów, z „Sonetami krymskimi” na czele.

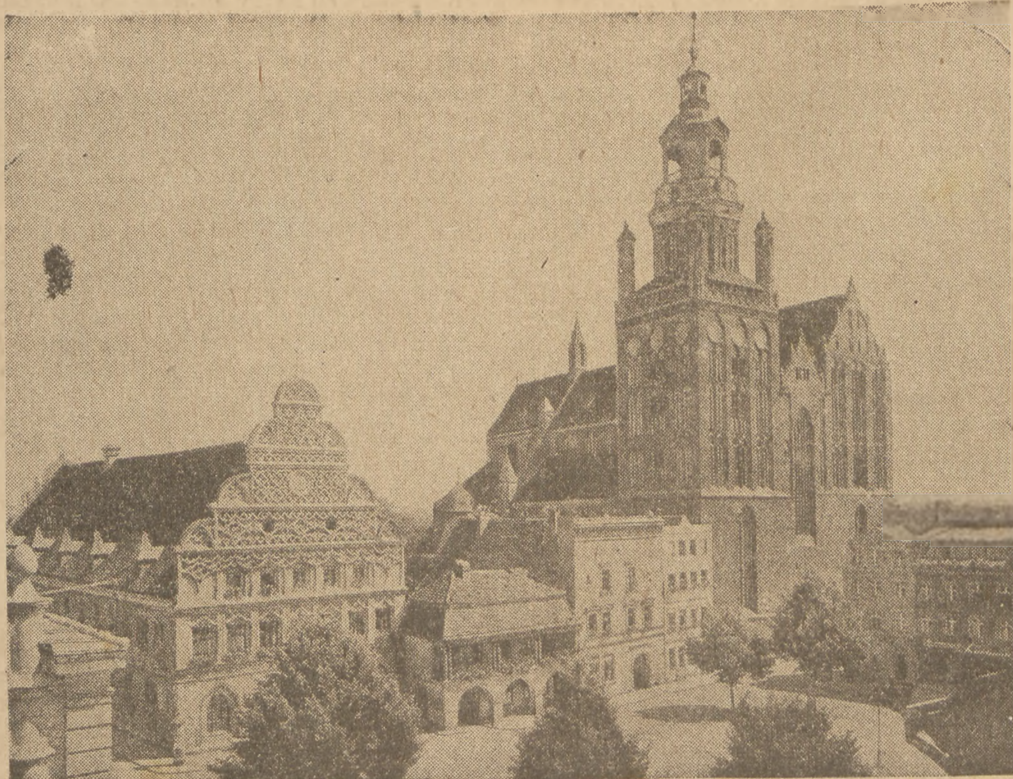
O tym zaś, że równocześnie był to okres, w którym powstał pomysł i ogólne zarysy całości, jako też wykończone zostały liczne partie i fragmenty najpotężniejszego przedemigracyjnego dzieła poety, „Konrada Wallenroda”, próżno byśmy szukali jakiejś obszerniejszej, odpowiedniej do wagi tego faktu, wzmianki.

A tymczasem bliższe wniknięcie w okoliczności pierwszego roku pobytu Mickiewicza w Rosji zdaje się wyraźnie wskazywać, że okres ten nie miał bynajmniej dlań wyłącznie idyllicznego charakteru, że wszystkie owe rozgłośne tryumfy i poklaski, wszystkie celowo gromkie akcesoria zewnętrzne ówczesnego jego życia, były jedynie jedną z form postępowania nakazanego koniecznością „pełzania milczkiem” i „łudzenia despoty”, jednym z posunięć mających na celu odwrócenie uwagi od innej, mniej głośnej i mniej publicznie prowadzonej działalności poety o charakterze konspiracyjnym. Nie udało nam się wprawdzie uzyskać jakichś wyraźnych, nie podlegających zakwestionowaniu dowodów, że istotnie rzeczy się miały tak, jak to będziemy usiłowali tu przedstawić, jednakże cały szereg drobnych na pozór faktów zebranych to tu, to tam, zdaje się bezwzględnie świadczyć, że przytoczony przez nas tradycyjny dla biografów Mickiewicza wizerunek jego duchowy z omawianego okresu w znacznym stopniu odbiega od rzeczywistości.

Podkreślmy przy tej sposobności, że wizerunek ów, w ciągu pół wieku już trwających, gruntownych, zdawałoby się, badań historyczno-literackich nad życiem i nad twórczością poety nie uległ był żadnym poważniejszym zmianom. I nawet — w rezultacie polemiki wynikłej na kilka lat przed wojną w związku z przedstawianiem przez prof. J. Kleinera pobytu Mickiewicza na południu Rosji w pracy pt. „Dzieje Gustawa”, został jeno nieznacznie uzupełniony szczegółami dotyczącymi taktyki, jaką zastosował poeta w celu pozyskania sobie możnych i wszechwładnych protektorów na rzecz wydrukowania i wydania w Moskwie „Sonetów krymskich”. Co gorsza, można żywić całkiem uzasadnione obawy, że ów skostniały wizerunek przejdzie bez jakichkolwiek zmian do odpowiednich wstępów i do komentarzy w „wydaniu narodowym” plonu twórczego poety z tego okresu.

Ale do rzeczy. Nikt dziś już chyba poważnie nie sądzi, że działalność filareckiej i filomackiej młodzieży wileńskiej była tak niewinna i tak bezinteresownie, wyłącznie celom samokształcenia i doskonalenia się poświęcona, jak to usiłowali byli przedstawić oskarżeni w swych zeznaniach przed komisją śledczą. W gruncie bowiem przynajmniej główni ich przywódcy doskonale wiedzieli, czego chcą i do jakich celów zmierzają. I nie mniej dobrze zdawali sobie oni sprawę z faktu, że w razie jakiejś „wsypy” będą musieli ponieść wszelkie wynikające stąd konsekwencje. Otóż w wydanej przez prof. Czubka „Korespondencji Filomatów” znajdujemy cały szereg obojętnych na pozór i nie zauważonych, zdaje się, przez nikogo wzmianek, które dopiero w świetle sugerowanych tu przez nas domysłów nabierają właściwej wymowy. Dotyczą one zarówno owej konspiracyjnej strony działalności młodzieży wileńskiej, jak i poczynań mających na celu przygotowanie sobie zawczasu, na wypadek katastrofy — dróg czy ścieżek odwrotu. Przede wszystkim interesować nas tu będą wzmianki, dotyczące kontaktów utrzymywanych ze współpracownikami narodowości polskiej działającymi na terenie Petersburga i tak zwanych prowincyj południowych: Podola, Wołynia i Ukrainy oraz z przedstawicielami tajnych organizacji rosyjskich.

Jak wiadomo, jeśli jeszcze nie wcześniej, a więc w okresie przeciągania przez prowincje litewskie wojsk rosyjskich powracających do kraju z państw zachodniej Europy po za-



Stargard (Starogród — na wschód od Szczecina). Fragment rynku: po stronie lewej ratusz z XVI w., po prawej kościół N. P. Marii, wystawiony krótko po r. 1300, jeden z największych i najokazalszych kościołów Pomorza Zachodniego.

kończeniu wojen napoleońskich, — to w każdym bądź razie w czasie stacjonowania na Litwie oddziałów gwardii, przysłanych tam za karę po uśmierzeniu głośnego buntu Siemionowskiego pułku (1820 r.), rozpoczęły się rozmowy przedstawicieli młodzieży litewskiej z nastrojonymi liberalnie, a nawet rewolucyjnie, oficerami gwardii. I — fakt zabawny: rozmowy owe odbywały się równocześnie z całym szeregiem głośnych burd i awantur prowokowanych przez część młodzieży niechętną tym — pogardliwie „gwardyjakami" zwanym — oficerom carskim. Znane są tego rodzaju, niezbyt chwalebne zresztą dla biorących w nich udział „akademików", zajścia z por. Tyzenhauzenem, z chorążym Pełskim i z innymi.

Naczelną postacią w dziele nawiązywania nici porozumienia z przedstawicielami sfer wojskowych rosyjskich był Michał Rukiewicz, zamieszkały na wsi w Białostockim, o lat kilka starszy od swych przyjaciół wileńskich wojak napoleoński, uczestnik wojen hiszpańskich i twórca organizacji tzw. „Przyjaciół wojskowych". Z kim prowadził był on rokowania i jaki był ich wynik konkretny, tego ze zrozumiałych powodów — dziś nie wiemy i kto wie, czy się kiedyś dowiemy. To pewna jednak, że obecność Bestużewa na balu u senatora Nowosilcowa w Wilnie (w „Dziadów część III") nie jest wytworem bujnej wyobraźni poety, lecz po prostu echem faktycznego pobytu w stolicy Litwy jednego z przyszłych dekabrystów, Bestużewa-Riumina, który w związku z utrzymywaniem kontaktu z przedstawicielami organizacyj polskich stale niemal przemierzał był wzdłuż i wszerz prowincje litewskie i poludniowe.

Szeroko również zakrojoną akcję musiała najwidoczniej młodzież wileńska prowadzić wśród członków tak szeroko wówczas w sferach ziemiaństwa kresowego rozpowszechnionej masonerii.

Tak na przykład w liście do Jeżowskiego i do Pietraszkiewicza, z sierpnia 1819 roku, Mickiewicz w liczbie czynności wypełniających mu czas wakacyjny, spędzany głównie w Tuhanowiczach u Wereszczaków, wymienia m. in. „działanie, rozmawianie nawet o □ z cietrzewiami*), kalkulowanie... całą noc pieśni rewolucyjne w licznej drużynie". A trzeba wiedzieć, że obaj bracia Maryli, Michał i Józef, byli członkami loży masońskiej, bodaj czy nie „Gorliwego Litwina".

Co się tyczy stosunków z tajnymi organizacjami młodzieży warszawskiej, to i o nich, jak i o występującym tu w charakterze łącznika Ksawerym Ogińskim, znajdujemy w „Korespondencji Filomatów" kilkakrotne wzmianki. Przypomnijmy tu sobie taki na przykład ustęp z listu Mickiewicza do Malewskiego, z czerwca 1820 roku, dający nam pojęcie i o właściwych celach działalności filomackiej i o tej karygodnej lekkomyślności, z jaką niektórzy spośród „promienistych" traktowali powierzone im tajemnice związkowe. „Przybył tu" — donosił poeta z Kowna — „niedawno doktór Kosztulski z Wilna; mówił o promienistości, o należących do niej Korsakowie i Ogińskim, dodał, że piękny zamiar, „ale na co Promieniści oświadczają się głośno ojczyźnę z kajdan ratować? To wszystkich przeraziło". I dodaje: „Widzicie, jak trzeba ostrożnie".

Nie zaniedbywano również starań w celu nawiązania nici łączności z przedstawicielami Polaków zamieszkałych w Petersburgu, jak również i z kołami tamtejszej, liberalnie nastrojonej młodzieży rosyjskiej. Tu, nad Newą, mieli filomaci m. in. swego niejako „ambasadora" w osobie przebywającego tam od paru lat byłego ucznia uniwersytetu wileńskiego, prawnika Pełczyńskiego. Wystarczy uważnie przeczytać listy, pisane do niego i przez niego, aby dostrzec licznie w nich rozsiane, nic nie znaczące na pierwszy rzut oka, wzmianki, napomknienia, niedomówienia itp., zrozumiałe jedynie na tle tego, co się wyżej powiedziało. Prócz Pełczyńskiego był i cały szereg innych ogniw łączności. Przypuszczać należy, iż jednym z nich był głośny mistyk i malarz, Józef Oleszkiewicz, wraz ze swym kółkiem „wolnomyślicieli", taką bowiem rolę zdaje mu się wyznaczać sam Mickiewicz w „Dziadów cz. III".

Dość licznie również reprezentowane są w listach filomatów wzmianki odnoszące się do tak zwanych prowincyj południowych, w szczególności do samego miasta Kijowa, gdzie, jak wiadomo, w okresie odbywających się tam rok rocznie w drugiej połowie stycznia (st. st.), słynnych „kontraktów", wszelkiego rodzaju organizacje tajne, wykorzystując nieodłączne od takiego olbrzymiego zjazdu zamieszanie i osłabienie czujności władz policyjnych, odbywały swe tradycyjne doroczne zebrania i narady. Ten właśnie wzgląd decydował najwidoczniej o stopniu zainteresowania Kijowem młodych działaczy wileńskich.

Kiedy Jeżowski (zapamiętajmy to sobie: Jeżowski, przyszły towarzysz odeski Mickiewicza!), pochodzący z Ukrainy, po spędzeniu wakacji 1819 roku w domu, powrócił do Wilna, Mickiewicz w liście z Kowna daje mu krótki rozkaz: „Ukrainę, powrót, teraźniejszy pobyt jak najobszerniej opisać". Z jakich względów interesowała go do tego stopnia Ukraina — nad tym, jeśli się nie mylimy, nikt się dotychczas nie zastanawiał. Jakieś racje musiały tam jednak grać swoją rolę. Czy nie chodziło tu przypadkiem o wiadomości, potrzebne dla celów jakiejś ówcześnie prowadzonej, bądź też planowanej na przyszłość roboty konspiracyjnej? Wiadomości, w rodzaju tych, jakie w parę lat później, w postaci odpowiedzi na kilkadziesiąt pytań, zawartych w znanym „Opisie jeograficznym", zasilić miały zasób wiedzy filomackiej o kraju?

Podziwiać nawet należy, jak główni przynajmniej przedstawiciele młodzieży filomackiej dokładnie byli poinformowani o interesujących ich stronach i szczegółach życia na terenie miast i ziem, które w parę lat później staną się miejscem ich wygnańczego pobytu. Jeśli chodzi na przykład o Mickiewicza i o jego towarzyszy wygnania, to w listach filomatów z czasów jeszcze wileńskich mamy wzmianki nie tylko o Kijowie i o Ukrainie, ale i o Odessie, a nawet i o Liceum Richelieugo. Wygląda wprost na to, że wybór tego właśnie liceum przez poetę i przez Jeżowskiego był krokiem, na parę już lat przed faktycznym wygnaniem, jak gdyby w przewidywaniu wszelkich możliwych ewentualności uplanowanym.

A więc Kijów. W kilku listach pisanych przez brata poety, Franciszka Mickiewicza do Częczota w roku 1822, mówi on o kilkomiesięcznym pobycie w Kijowie, w „sprawie z Chodkiewiczami", kolegi szkolnego Częczota i Adama, i ich współpowietnika, prawnika Ignacego Zaborskiego. Otóż sprawa dotycząca, według wszelkiego prawdopodobieństwa, m. in. i Aleksandra Chodkiewicza z Młynowa, którego Mickiewicz, jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia, dobrze znał. I rzecz ciekawa: jak się okazuje z zeznań dekabrystów, ów właśnie Chodkiewicz był pierwszym z Polaków, do którego zwrócili się oficjalnie przedstawiciele tajnych organizacji rosyjskich z propozycją nawiązania kontaktu.

Tu należałoby zrobić małą dygresję. Nie poprzestając na szablonowym, przekazanym nam przez biografów poety opisie składu i charakteru jego otoczenia z czasu pierwszego roku pobytu w Rosji, staraliśmy się w miarę możności ramy tego otoczenia rozszerzyć nadając równocześnie poszczególnym, składającym się je osobistościom bardziej bliskie rzeczywistości oblicze. I fakt niezmiernie ciekawy i znamienny i chyba nie przypadkowy: co druga z tych wydobytych przez nas z mroku zapomnienia postaci okazuje się bądź to w jakikolwiek sposób zamieszana w spisek dekabrystów, bądź też figurująca w liczbie bezpośrednich lub tylko pośrednich uczestników Powstania Listopadowego. Taki dobór otoczenia ma bądź co bądź swoją wymowę!

Lecz wróćmy do „Korespondencji Filomatów". „Onufr niech lepiej jedzie do Kijowa", pisze Malewski do Zana w końcu grudnia 1822 roku (a więc w czasie przedkontraktowym!), dowiedziawszy się o próżniaczym i „wszeteczeństw" pełnym trybie życia jednego z filomatów, Onufrego Pietraszkiewicza. Widocznie ten wyjazd do Kijowa w okresie kontraktów miało dla przyjaciół wileńskich całkiem określone i nie wymagające objaśnień znaczenie.

Wreszcie fakt nie mniej wymowny. Na kontrakty kijowskie w roku 1823 jedzie m. in. z Warszawy Walerian Krasiński, były uczeń uniwersytetu wileńskiego, przyjaciel i wielki admirator Mickiewicza, gorliwie rozpowszechniający w Warszawie jego dzieła i — uwaga! — emigrant po roku 1831. Jedzie do Kijowa, zaopatrzony m. in. w dokumenty potrzebne do wyrobienia paszportów zagranicznych dla Mickiewicza i dla Jeżowskiego. Że Mickiewicz starał się już od dawna o pozwolenie na wyjazd za granicę, rzekomo w celu poratowania zdrowia, to rzecz ogólnie wiadoma. Natomiast fakt, że o to samo starał się i to bardzo nawet gwałtownie Jeżowski, jest szczegółem bodaj czy zauważonym i nader ciekawym. Najwidoczniej i jemu paliła się już ziemia pod stopami.

Rzecz jasna, że Krasiński udawał się na kontrakty nie dla owych starań o paszporty. Musiał on mieć sobie powierzone inne jakieś, stokroć ważniejsze misje, pozostające, jak wolno się domyślać, w związku z odbywającymi się właśnie podczas tych kontraktów pierwszymi oficjalnymi rozmowami przedstawicieli organizacji tajnych polskich i rosyjskich.

Na każdym więc kroku napotykamy na ślady niezmiernie dyskretnej, niby sieć pajęcza, zda się, niedostrzegalnej, roboty przygotowawczo-konspiracyjnej.

Nic też dziwnego, że wkrótce po przyjeździe do pierwszego etapu wygnania, to jest do Petersburga, zarówno poeta jak i jego towarzysze, czuli się już tam niemal jak u siebie w domu. Szczególnie szybko nawiązane zostały nici szczerej, serdecznej przyjaźni z wybitniejszymi przedstawicielami przyszłych dekabrystów: Aleksandrem Bestużewem (Marlińskim), Konradem Rylejewem i innymi. Mickiewicz, którego talent poetycki był im doskonale znany, cieszył się ich nieograniczonym zaufaniem i bywał stałym gościem na ich najbardziej poufnych zebraniach i biesiadach. Sam poeta dziwił się niejednokrotnie nieostrożności, z jaką spiskowcy przy otwartych oknach mieszkania wygłaszali głośno podburzające mowy, wznosili toasty za śmierć cara itp.

Ten wysoce życzliwy stosunek ze strony przedstawicieli liberalnych kół inteligencji rosyjskiej znalazł m. in. swój wyraz w szybkim i pomyślnym załatwieniu prośby trzech wygnańców wileńskich o pozwolenie na zamieszkanie w Odessie oraz o zaliczenie Mickiewicza i Jeżowskiego do liczby wykładowców miejscowego liceum, Malewskiego zaś — do personelu urzędniczego kancelarii generał-gubernatora odeskiego, hrabiego a później księcia Woroncowa. Jakoż dnia 16 grudnia 1824 roku ówczesny minister oświaty Szyszkow zawiadamia kuratora liceum Richelieugo o decyzji wysłania tam Mickiewicza i Jeżowskiego.

Zresztą najlepszym dowodem bliskich i wysoce przyjacielskich stosunków poety z czołowymi dekabrystami petersbuskimi jest wiersz „Do przyjaciół Moskali", jak i to, co mówi o nich poeta w swych wykładach, jak wreszcie i fakt licznych ich inskrypcji figurujących według świadectwa J. B. Zaleskiego w skradzionym Mickiewiczowi w Paryżu jego albumie.

Jak powiedzieliśmy, decyzja zatwierdzająca wybór przez naszą trójkę filomacką Odessy jako miejsca zamieszkania zapadła była już w połowie grudnia. Do jakiego stopnia dyskretnie i bez rozgłosu, niejako „prywatnie", cała ta sprawa musiała być załatwiona, świadczy fakt, że w ślad niemal za jadącymi z północy na południe „wygnańcami" pędził kurier z rozkazem carskim zabraniającym im pobytu w Odessie i w guberniach położonych w pobliżu Królestwa. Mimo to jednak, Mickiewicz i jego towarzysze dziwnie jakoś nie kwapili się opuścić murów stolicy nadnewskiej. Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, minęła połowa stycznia, a oni wciąż jeno szykowali się do drogi, debatowali nad tym, czy odbyć ją w saniach, czy też w bryce, kupowali rozkładając tę czynność na długi szereg rat, zaopatrzenie podróżne, słowem — wyraźnie grali na zwłokę. Jaki był jej powód właściwy, tego możemy się tylko domyślać. W każdym jednak razie nie siedziano tam bezczynnie. Poza utrzymywaniem stałego kontaktu z kołami organizacji tajnych, Mickiewicz na przykład podsycał był noszoną w głębi duszy żądzę zemsty, błądząc wśród widomych znaków potęgi i przemocy carskiej, „czepiając oczy" po „żelazach" i po „granitach", i jak Samson dumając „pod Filistynów kolumnami". Po wypróbowaniu na własnej skórze wszystkich metod i chwytów stosowanych przez gestapowców niemieckich, podziwiać zaiste należy niezwykłą tolerancyjność ówczesnych władz rosyjskich, które osądzonym i skazanym na wygnanie młodzieńcom pozwalały tak, bez żadnej kontroli, spacerować sobie po różnych zakątkach stolicy, uczęszczać na zebrania towarzystw tajnych i wciąż odraczać termin wyjazdu.

Wreszcie, w końcu stycznia (dokładna data wyjazdu nie jest znana), ruszono w drogę. W zabezpieczonej szczelnie przeciw wiatrom i zamieciom budzie, obok bagaży i zapasów podróżnych, wieźli ze sobą jej pasażerowie coś znacznie bardziej cennego i ważnego: ukryte dobrze listy polecające, w jakie zaopatrzyli ich byli petersburscy ich przyjaciele. Mówimy „listy", jakkolwiek znany jest dotychczas tylko jeden taki list adresowany do poety Tumańskiego, urzędnika tej samej kancelarii generał-gubernatora odeskiego Woroncowa, którą obrał sobie jako miejsce pracy Malewski. Tumański, wybitnie rewolucyjnie nastrojony współwyznawca spiskowców petersburskich, stanowił na terenie Odessy jak gdyby ich ekspozyturę. Należał on do licznego grona osób, którym, podobnie jak Puszkinowi, księciu Wiaziemskiemu (dowcipnie nazwanemu przez jednego z radzieckich historyków literatury „grudniowcem bez grudnia") i — jak wszystko na to zdaje się wskazywać — Mickiewiczowi, udało się wykręcić sianem od odpowiedzialności za bezpośredni czy tylko za pośredni udział w spisku dekabrystów. Z faktu, że z liczby listów, jakie ze względu na treść z reguły musiały być natychmiast niszczone przez ich adresatów, dochował się czy też opublikowany został dotychczas tylko ten jeden, nie można naszym zdaniem wyprowadzać wniosku, że więcej tego rodzaju listów Mickiewicz i jego towarzysze podróży ze sobą nie wieźli.

W tym, wspólnie wygotowanym liście, pisze Bestużew: „Polecam ci Mickiewicza, Malewskiego i Jeżowskiego. Pierwszego znasz z nazwiska, za zaś ręczam za jego duszę i za talent. Przyjaciel jego Malewski również miły i zacny chłopak. Poznajom ich i poucz; i okaż im biednym dużo serdecznego ciepła. Brata twego widziałem niedawno — wciąż ten sam... Bądź zdrów i bądź ostrożny, i kochaj nas. Rylejew mówi i czuje to samo, co i ja. Twój Aleksander". A Rylejew dopisywał się: „Miły Tumański. Pokochaj Mickiewicza i przyjaciół jego, Malewskiego i Jeżowskiego: to zacni i dzielni chłopcy. Zresztą zbyteczne jest o tym pisać: pod względem uczuć i sposobu myślenia są to już nasi przyjaciele, a Mickiewicz do tego jest i poetą, ulubieńcem swego narodu. Twój Rylejew". Kto wie, ile podobnej treści listów doręczonych zostało przez naszą trójkę różnym osobistościom w Kijowie, w Odessie, a być może i gdzie indziej.

Po kilkodniowej podróży z dłuższymi postojami w Witebsku i w Homlu dotarto wreszcie do Kijowa. Zachował się list Mickiewicza do Odyńca, datowany z „biwaku w Kijowie", dnia 5 lutego 1825 roku, list niezmiernie ważny właśnie ze względu na ową datę. Zaczynamy teraz rozumieć powody owej zwłoki petersburskiej: chodziło o to, aby przejeżdżać przez Kijów w okresie „kontraktowego" zjazdu obywatelstwa oraz znajdowania się tam licznych przedstawicieli kół konspirujących. Przypomnijmy, że prowadzono tu wówczas, ostatnie przed wybuchem grudniowym, doroczne rozmowy polsko-rosyjskie, że więc poeta wraz ze swymi przyjaciółmi mogli się byli tam zetknąć m. in. i z przedstawicielami Warszawy. Niestety, nie mamy na to dotychczas żadnego dowodu, co jest zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że z tego rodzaju dowodami ani wówczas, ani też później nikt się nie afiszował. Być może, iż znajdą się kiedy w jakichś archiwach prywatnych dokumenty, które pozwolą na częściowe choćby uchylenie tej zasłony, a kto wie, może nawet i potwierdzą słuszność przypuszczenia P. Chmielowskiego, że właśnie podczas owego „biwaku" naddnieprzańskiego Mickiewicz mógł się był widzieć z Bestużewem (oczywiście, nie z Aleksandrem; jedyny to, jeśli się nie mylimy, wypadek interesowania się omawianymi tu przez nas kwestiami ze strony biografów Mickiewicza!).

Nie ulega natomiast wątpliwości, że tu, w Kijowie, nawiązał był poeta liczne znajomości w sferach przybyłego tu ze wszystkich zakątków południowej Rosji ziemiaństwa. Tu też zapewne zawarł był on znajomość z rodziną Hołowińskich ze Steblowa, u których, zboczywszy nieco z drogi, spędził kilka mile potem wspominanych dni. Otóż i o tym epizodzie wiemy tylko tyle, że oboje gospodarstwo byli bardzo światli i gościnni, że Mickiewicz zachwycał się malowniczym położeniem parku przecięte̜go wijącą się i w niebotyczne, całkiem prostopadłe skaliste brzegi ujętą Rosią. Że lubił słuchać gawęd dwu miejscowych rezydentów: staruszka Micowskiego i byłego wojaka, Wróblewskiego, jak również i opowiadań starego sługi, od którego posłyszeć miał między innymi podobno historię uwiecznioną w balladzie „Czaty". Że na wyjezdnym wpisał był do sztambuchu pani domu wiersz zaczynający się od słów: „Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza", a w „Panu Tadeuszu" upamiętnił stojącą przed domem lipę, pod którą, panie dobrodzieju, „sto młodzieńców. sto panien szło w taniec parami". Nic natomiast nie wiemy o znajomościach, jakie zawrzeć tu zapewne musiał poeta z tymi czy innymi spośród sąsiadów Steblowa, ciekawych ujrzeć na własne oczy autora „Dziadów" i „Grażyny" oraz ofiarę przemocy sługusów carskich. A tymczasem zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tu właśnie poznał Mickiewicz Antoniego i Genowefę z Duninów Proskurów, których po wielu latach spotka ponownie w Paryżu. Członkowie rodziny Proskurów posiadali swe dobra w sąsiedztwie Steblowa i byli spokrewnieni z Hołowińskimi. Otóż dwaj Proskurowie figurują w liczbie osób aresztowanych i badanych w związku z procesem dekabrystów.

Wreszcie, w drugiej połowie lutego 1825 roku, stanęli nasi podróżni u celu. Skłonni jesteśmy twierdzić, że wbrew utartemu poglądowi wybór ich padł był na Odessę nie dla jej pięknego, nadmorskiego położenia i europejskiego, czy nawet międzynarodowego charakteru jej pełnych różnobarwnego i różnojęzycznego tłumu ulic; i nie dlatego, że jak mówił Mickiewicz, włoskimi orzechami brukowano tam chodniki, lecz z tego względu, że stanowiła ona jedno z najbardziej ożywionych i dogodnie położonych środowisk pracy konspiracyjnej.

Tu mieściła się najliczebniejsza w ówczesnej Rosji loża masońska „Pontus Euxinus", tu miała swą siedzibę centralną tak zwana „Heteria", organizacja europejska kierująca powstaniem greckim, tu wreszcie istniała dobrze zorganizowana placówka współpracująca z przyszłymi dekabrystami. Do Odessy zjeżdżało z terenu całego imperium wszystko to, co było niezadowolone z rządów carskich, wszystko, co miało buntownicze nastawienie. Wiedział był o tym dobrze Aleksander I i jeszcze w roku 1824 pisał do Woroncowa: „Jestem w posiadaniu wiadomości, że do Odessy zjeżdża ze wszystkich okolic, zwłaszcza zaś z gubernii polskiej, i to nawet spośród wojskowych, bez zezwolenia swego zwierzchnictwa, wiele takich osób, które rozmyślnie i celowo, bądź też przez swą lekkomyślność trudnią się rozpowszechnianiem bezpodstawnych i wstrętnych pogłosek mogących mieć wpływ szkodliwy na słabe umysły".

Jak wiadomo Mickiewicz i Jeżowski zamieszkali byli w murach liceum. Cały szereg wybitnych profesorów tej uczelni hołdował masonerii, a jeden z nich był autorem tłumaczenia „Deklaracji praw człowieka i obywatela", którego rękopis znaleziono w roku 1826 podczas rewizji u „niezależnych" wolnomyślicieli, Suchaczewa i Aristowa. Nie udało nam się niestety dotrzeć do artykułu historyka radzieckiego J. G. Oksmana pt. „Gniazdo odeskie spisku 1825 roku", gdzie, jak i w anonsowanej przez prasę pracy I. Bekera „Mickiewicz w Rosji", znalazłyby się może szczegóły pozwalające znacznie rozszerzyć krąg osób, z którymi mógł był poeta toczyć poufne rozmowy w czasie swego pobytu na Południu, lecz i to niewiele, co zdołaliśmy ustalić, pozwala nam dokonać dość gruntownych korektur jego ówczesnych rysów w wizerunku, jakim nas dotychczas częstowano.

Wszystkie źródła zgodnie stwierdzają, że zjazd do Odessy ziemiaństwa kresowego był

*) Kwadracik □ oznaczał członków tajnych organizacji studenckich, „cietrzewiami" nazywano masonów.

w czasie lata 1825 roku niebywale liczny. Miał więc Mickiewicz tysiączne sposobności do nawiązania kontaktów z potrzebnymi mu osobistościami bez konieczności opuszczania miasta. Zresztą z tymi wyjazdami, to też było niezupełnie tak, jak się o tym pisze wspominając jedynie podróż do Akermanu i wyprawę na Krym. Wiadomo skądinąd, że poeta bywał na wsi i u Zaleskich, i u Kiriakowów. Ale mniejsza o to. W Odessie poznał Mickiewicz najwybitniejszego bodaj działacza w zakresie utrzymywania tajnych stosunków polsko-rosyjskich, głośnego później zesłańca syberyjskiego, hr. Piotra Moszyńskiego. Moszyński, mimo młodego wieku obrany marszałkiem szlachty wołyńskiej, cieszył się nieograniczonym zaufaniem swych mandatariuszy i całą swą działalnością usiłował budzić w nich ducha obywatelskiego. Należał on i do miejscowych organizacji patriotycznych polskich, i do „Towarzystwa Zjednoczonych Słowian“, i w ich imieniu występował podczas narad i rozmów prowadzonych ze stroną rosyjską. W zeznaniach osób, badanych w związku z procesem dekabrystów, pełno mamy wzmianek o „hr. Moszczyńskim“ (sic!), z którym miano utrzymywać kontakty głównie w czasie jarmarków berdyczowskich. W Odessie również zawarł poeta znajomość z sąsiadem i przyjacielem Moszyńskiego, Ksawerym Sabbatynem, zesłanym po roku 1831 na Syberię. Kto wie, czy w ewentualnej pracy konspiracyjnej nie byli Mickiewiczowi przydatni tacy jego znajomi odescy, jak Marchocki, Migurski, Fr. Kowalski, K. Lipiński, J. Andrzejowski oraz zagadkowa Eugenia Szemiotówna żądająca w testamencie spalenia posiadanych przez nią listów poety.

Jaki charakter nosić mogła omawiana przez nas działalność potajemna Mickiewicza z czasów odeskich, czy chodziło o pośredniczenie pomiędzy członkami tajnych organizacji polskich i o agitację na rzecz wstępowania w ich szeregi, czy też o współpracę w nawiązywaniu i utrzymywaniu kontaktów ze spiskowcami rosyjskimi — tego dokładnie powiedzieć nie możemy. Stwierdzić jeno należy, że pod tym względem sytuacja poety działającego w ukryciu, pod bokiem i pod osłoną Karoliny Sobańskiej i jej możnego protektora, gen. Witta, była wyjątkowo dogodna. Pamiętać również trzeba, że zarówno na bruku odeskim, jak i wśród gór i dolin Krymu mamy już w znacznym stopniu do czynienia nie z sentymentalnym Gustawem, lecz z buntowniczo nastrojonym mścicielem krzywd swego narodu, Konradem, mającym w sobie coś z Konrada Rylejewa, i z byronowskiego „Korsarza“, i z Konrada z celi bazyliańskiej, i przede wszystkim z „Wallenroda“. Przy tych stosunkach i znajomościach, jakie miał on w Odessie, fakt szykującego się na życie Aleksandra I zamachu musiał mu być dobrze znany. Wśród gwarnego, nie przeczuwającego nadciągającej burzy, tłumu kuracjuszy i kąpielowiczów przemykali się nieliczni wtajemniczeni oczekujący lada chwila wiadomości o dokonaniu zamachu. Gdy obecność Aleksandra na manewrach letnich została odwołana, oczy ich wszystkich zwróciły się ku Taganrogowi, dokąd udać się miało kilkunastu uzbrojonych w sztylety zamachowców. Atmosfera nerwowego oczekiwania, zaabsorbowanie myśli możliwością bliskiego zajścia wypadków, zadość czyniących poprzysiężonej zemście, wszystko to harmonizowało z nastrojem „powieści litewskiej“ a szczególniej — „Alpuhary“. Zresztą i bez tego istnieje sporo świadectw, że poszczególne fragmenty „Konrada Wallenroda“ były pisane i czytane przez autora w tejże Odessie.

Ze zrozumiałą tedy skwapliwością przyjął Mickiewicz propozycję wzięcia udziału w wycieczce na Krym w gronie osób stanowiących kółko „przyjaciół i przyjaciółek“ pani Sobańskiej oraz gen. Witta udającego się w tę podróż służbową w celu zbadania warunków bezpieczeństwa na półwyspie mającym niebawem służyć za miejsce pobytu i przejażdżek samego cara. I tu, już w miesiącach jesiennych, spotkał się był Mickiewicz również z poetą Gustawem Olizarem i spędził kilka dni w jego uroczo u stóp Ajudahu położonej posiadłości. I znów: wiemy o tym uroczym położeniu i o tym, że Olizar był niefortunnym rywalem Puszkina, na próżno starającym się o rękę Marii Rajewskiej i po otrzymaniu odmowy żyjącym tu w całkowitym odosobnieniu. Dochowała się również mało naszym zdaniem prawdopodobna wersja, że o nim to mówi Mickiewicz w zakończeniu sonetu „Ajudah“. I dopiero z pamiętników Olizara dowiadujemy się, że w związku ze spiskiem dekabrystów był on dwukrotnie aresztowany i osadzony w twierdzy. Jaka była treść rozmów prowadzonych przez obu poetów pod szafirowym niebem Krymu?

Jedno zdaje się być pewne: autor „Konrada Wallenroda“ i podczas wygnania nie był takim niewiniątkiem, za jakie powszechnie uchodził i uchodzi. W sprawach nielegalnej działalności musiał on tam mieć coś na sumieniu, skoro po ukończonym procesie i po wyroku na dekabrystów zaczęły o nim krążyć w Odessie jakieś, mocno niepokojące panią Zaleską, pogłoski, które poeta w ironicznej formie prostował. „Fałszywe“ — pisał — „rozniesione o nas w Odessie wiadomości bawią mnie, ale nie dziwią. Miałem zawsze jakieś szczęście zatrudniać języki ludzi, którzy najmniej losem moim zajmować się byli powinni. Z ich łaski byłem dwa razy utopiony, raz rozstrzelany, kilka razy zamknięty, nie licząc innych mniej tragicznych rodzajów śmierci“.

I dlatego, patrząc na portret Mickiewicza wspartego o skałę Ajudahu, skłonni jesteśmy raczej widzieć nie marzyciela sycącego wzrok majestatem wodnego bezkresu i pięknem południowego krajobrazu, lecz siedzącego na występie skały i wypatrującego swej ofiary orła czy też sępa, któremu grzmoty bijących o brzeg bałwanów brzmią jak akompaniament pieśni o „zemście Litwina“.

Leonard Podhorski-Okołów

JAN TADEUSZ ZALESKI

KWITNĄCE SADY*)

Było to po wielkim rozbiciu naszej celi, które odbyło się w związku z pamiętnym styczniowym transportem na Majdanek. Przez trzy dni sortowano nas na zbiornikach, ściśniętych jeden na drugim, wyrwanych z dobrze zagospodarowanych cel, gdzie znało się dokładnie każdy centymetr kwadratowy posadzki, każdy schowek w nogach koziołków do nar, gdzie było wiadomo, kiedy można bezpiecznie palić i do kogo się udać po użyczenie upragnionej iskierki ognia wykrzesanej z pulwru. Spędzono nas cztery cele do szpagatów na piąty oddział. Mieli ogromną kwadratową izbę o normalnych oknach i drewnianej podłodze. Stan u nich wynosił ponad 150 więźniów, po dojściu naszych przekroczył cztery setki. Spozierali na nas spod oka, pilnując swoich dobrze wypchanych worków. Na odchodnym major z czwartego powiedział: — Uważajcie tam u nich ze szczurowaniem, bo oni leją pięćdziesiąt na gołą! — Była to zresztą jedyna informacja, jakiej nam, wypędzonym na korytarz, łaskawie udzielił. Długi i nastroszony, chodził wzdłuż naszych wylęknionych szeregów, klątwami i krzykiem starając się ukryć przed nieruchomo stojącym wachmajstrem swą własną niepewność i strach.

Tam właśnie na trzydziestej piątej spędziliśmy te trzy dni grozy, każdy w oczekiwaniu, kiedy korytarzowy ciśnie od drzwi nasze nazwiska z długiej listy i zapyta: — Data urodzenia?... Dobryś, wyskakuj! — Wachmajster Berger zaś wyryczy swoje: — Aber schnell, fafluchter Kerl!... — i kluczami pogoni opieszałych. Wywoływano dzień i noc. Zależało im na pośpiechu. W nocy nikt nie spał. My z dziewiętnastki trzymaliśmy się osobno, stłoczeni na byle jak rozłożonych ciuchach, w kącie pod piecem. Topnieliśmy w oczach jak śnieg na wiosnę. Poszedł już nasz komendant, spokojny nauczyciel z Zamościa, poszedł wesoły Drabina, zawodowy złodziej, który po zgaszeniu świateł opowiadał nam zwykle długie i nie kończące się historie różnych urke, poszedł młodziutki Staś, specjalista od robienia kart i szachów z chleba. Brali wszystkich, politycznych, wyrokowych, zakładników, śledczych. Została nas ledwie garstka, spoglądaliśmy na siebie jak uratowani z rozbitego okrętu. Z ulgą żegnaliśmy szpagatów z trzydziestej piątej, mieliśmy wrócić na stare śmiecie.

Na dole, na czwartym, major powitał nas krótką przemową. Był znów pewny siebie. I tym razem stary go uratował.

— Co, swojaki z dziewiętnastki z powrotem? Kapujcie teraz na siebie dobrze, bo masa funkcyjnych poszła w transport. Z was będą wybierani nowi, jako z celi roboczej. Między wami są różni: i wyrokowi i polityczni, i śledczy, który będzie się dobrze starał, wyskoczy na korytarz. Widzę wśród was wielu śmierdziuchów i kiblarzy. Pilnujcie ich! Nie myślcie, że będziecie sami, dojdzie do was dwudziesta trzecia.

Istotnie za kilka chwil wpędzono do pustej i jakby nie naszej celi resztę dwudziestej trzeciej. Oni jak i my czuli się obco i nieswojo. Nary porozrzucane, jednego stołu brak, znikły gdzieś bez śladu upiększenia i wycinanki ze ścian. Kręciliśmy się niezdecydowani obijając się o siebie. Sytuację opanował jeden z dwudziestej trzeciej, mały i czarny marynarz.

— Trzeba wszystko uporządkować, nie? Kostkę ułożyć, nie? Będzieta stale się kręcić jak te barany, nie?

Skład celi przedstawiał się fatalnie. Ani jednego z dawnych funkcyjnych swojaków, prawie kompletny brak obfitujących w dobre paczki z domu inteligentów. Same wybierki. Przeważali kontyngenciarze spod Lublina, reszta to drobne płotki więzienne siedzące bez paczek, nie wiadomo za co, wynędzniałe i zawszone. Jak rodzynki w cieście tkwiło w tej biernej masie kilku swojaków i politycznych. Tym z dwudziestej trzeciej przewodził marynarz Samlowski. Przy całej bierności dawnych gospodarzy dziewiętnastki on chwycił władzę starszego celi w swoje ręce. Było to nam obojętne — i tak nie była to dawna cela.

I właśnie wtedy przy sprzątaniu, przy uzdrawiającej krzątaninie, gdy każdy z nas pracując wydychał koszmar ostatnich trzech dni, zauważono jego, tego czarnego niby cygana, niby rajzera ze szlaków wschodu. Stał i ogryzał jakąś kość koło kibli.

— Co ty, dziku jeden, nie ruszysz się nawet? Rączki z waty, nie? — przypadł do niego Samlowski.

Tamten gryzł dalej chciwie, wykonując grymas ustami. Skulił się przy tym jak przed biciem. Niedługo czekał. Samlowski kopniakiem wypchnął go na środek. — Ten zasraniec to do was, nie? — zwrócił się do kogoś z dziewiętnastki. Zaprzeczyliśmy. Wtedy zaczęła się awantura. Ten chudy obdartus przybłąkał się do nas nie wiadomo skąd. Sam nie umiał tego wyjaśnić. Mówił jakimś dziwnym językiem, mieszaniną wszystkich języków słowiańskich. Zresztą na połowę zadawanych pytań wzruszał ramionami. Nie pomogło bicie ani wymyślanie. Starszy korytarzowy, major Buras, wściekał się.

— Do karcu cię wsadzę, do karcu! Gadaj zaraz, z której celi jesteś? — Pośpiesznie, z uprzejmym przegięciem, tłumaczył zaszły wypadek wachmajstrowi, który na nasze pukanie otworzył drzwi.

— Na, was machst du hier — spytał go z kolei Niemiec.

Tamten jeszcze wyraźniej niż przedtem wzruszył ramionami. Wachman stał przez chwilę nieporuszony, jakby osłupiały, tylko czerwone obwódki wokoło oczu znaczyły wzbierającą w nim wściekłość. Przezornie odsunęliśmy się od drzwi. Ten szybki półobrót ramienia zakończonego pękiem ciężkich kluczy wyrósł jak cios stalowego automatu działającego za naciśnięciem guzika. Ugodzony zwalił się z nóg. Upadał powoli jak człowiek, który słabnie w napadzie nagłej choroby. Niemiec bił dalej w wijący się tłumok, aż go uderzeniami jak szuflą wgarnął z powrotem na środek celi. Potem przystanął nad leżącym, poprawił pas na sobie i krokiem spracowanego żniwiarza wyszedł na korytarz. Za nim wysunął się major. Szczęknęły żelazne zasuwy.

— No, podnoś się — dotknął go butem starszy celi.

Nie poruszył się. Po kamiennej posadzce wyciekł spod skulonego ciała wąski strumyczek krwi. Samlowski kazał go zabrać dwom innym. Ułożyli go w kącie, z dala od wizjerki. Krew wyciekała mu znad ucha, poprzez dziury łachmanów widać było siniejące w oczach plecy. Kiedy go przenosili, słychać było jak mu grało w płucach, jakby się odrywały wielkie kawały flegmy. Z przychylonych na bok ust wylało się trochę krwi zmieszanej ze śliną.

— Musi coś mu na wnątrzu odbił — powiedział stary Markowski. — Nic z niego nie będzie. — I wróciliśmy wszyscy do przerwanych porządków.

A jednak wytrzymał. Inni, mocniejsi nie wytrzymywali i szli do parku sztywnych, na strych, w oczekiwaniu na swoje pudło. Były to czasy szalejącego tyfusu, nikt się czyjąś śmiercią nie przejmował. Codziennie po kilku chorych z naszej dziewiętnastki zgłaszało się do lekarza z bólem głowy i gorączką. Panował ogólny strach przed szpitalem, niektórzy próbowali przechodzić, jednak po kilku dniach zwalało ich też z nóg. Pobitym nie zajmowano się. Cały dzień leżał pod narami, zmuszono go tylko, by stawał do apelów rano i wieczór, co nie obywało się bez popychania i lżejszych, ze względu na jego obecny stan, kopniaków. Potem wylizał się na tyle, że mógł chodzić po całej celi w dzień paczek i oczyma głodnego psa obserwował wraz z innymi takimi jak i on głodomorami szczęśliwców rozpatrujących otrzymane wałówki.

Nie prosił. W milczeniu tylko wyciągał rękę w stronę obżerającego się zimnym grochem jakiegoś Pękały czy Wawrzona.

— Niech ci przyślu, będzies jodł — odpowiadał zwykle nagabnięty, bacznie pilnując się na boki. Często była to pierwsza paczka po wielu tygodniach głodu, obszabrowana dokładnie z lepszych kęsków przez Niemca i korytarzowych.

W jakiś wtorek czy piątek siadywało kilku wspólników do takiej paczki wprost na betonie i zjadali ją do ostatniej kruszynki dolizując zamoczony papier. Jakże tu miało coś zostać dla sfory cisnących się żebraków.

Niekiedy trafiło się coś u jakiegoś szpagata czy zasobniejszego chachła. Tego przybłędy nawet najwięksi nędzarze w celi nie chcieli przyjąć między siebie. Nie dzielili się z nim łaskawie rzuconymi resztkami z uczt bogaczy. Zresztą nikt nic by tam darmo nie dostał. Były to przeważnie rekompensaty za drobne usługi, jakieś zmywanie miski, ścielenie posłania, czy czyszczenie butów, dorywcze prace za kogoś, gdyż nikt prócz komendanta naszej celi nie mógł sobie pozwolić na stałego służącego, jak to było praktykowane wśród więźniów. Nasza cela należała w tym czasie do najuboższych. Lecz nawet do tych posług przybłęda nie nadawał się. Był sam, nikt się nim nie zajął, natomiast wszyscy go poszturkiwali i pędzili od siebie z daleka. Zwykły los ofiary, która wszystkim zawadza. Chodził wśród nas jak widmo, prawie nagi w ten mroźny styczeń, z głową zawiniętą kawałkiem jakiejś ścierki, czarny, o twarzy przez nadmierne wychudzenie jakby niewidocznej na tle białych ścian. Na tej twarzy, jak ucharakteryzowane, odbijały się gęste czarne brwi jakby nakreślone grubo tuszem. Oczu jego chyba nikt nie widział z nas. Były stale przymknięte, zdawało się, że go razi niewidocznie bijący blask.

Mówił jakimś dziwnym językiem, mieszaniną polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego, a raczej wyśpiewywał poszczególne słowa półgłosem do siebie, nie uważając na nikogo, ani na słowa zwrócone do niego. Głód i poniewierka zamroczyły go, żył w półśnie, cieniutką niteczką związany ze światem. Stan jego był groźnym memento dla nas wszystkich, słaniających się na skraju życia i śmierci, dlatego może bito go więcej niż przeciętnego kiblarza wykańczającego się powoli z głodu, których była pełna nasza dziewiętnastka.

Samlowski wydusił z niego kiedyś kilka szczegółów. Nazywał się też inaczej niż wszyscy. Jamtury. Mieszkał daleko, daleeeko... Nad wodą, gdzie dużo ryb i gdzie, panoczku, ciepło, oj ciepło... I wskazał ręką na okno, kratą jak potworną pajęczyną zasnuwające

*) Opowiadanie wyróżnione na konkursie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

M A L A R S T W O   P O L S K I E



ALEKSANDER GIERYMSKI (1849—1901) **Przystań na Solcu** (olej)

nam niebo; przez to okno niekiedy rankiem błyskało nam słońce.

— To czerniak, z rumuńskich czerniaków — powiedział stary koniokrad Markowski. I zagadnął go po cygańsku. Lecz tamten znowu był nieobecny, nie odpowiedział mu, twarzą z przymkniętymi jak zwykle oczami zwrócony ku wycinkowi pochmurnego zimowego nieba widniejącego wysoko za nadtłuczoną szybą. Mimo woli zwróciliśmy za nim głowy — niebo jak niebo, szare, cierpliwie przewalające się chmurami, obojętne, rozpięte między basztą a dachem drugiego oddziału. Skierowaliśmy wzrok na cele. W codziennym, wielogodzinnym kołowrocie krążyli niektórzy dookoła niej, spacerując dla porządku para za parą.

— Idzi ty w czorty, jak durnia walajesz — pchnął go Markowski w środek spacerujących. Któryś podchwycił, pchnął go dalej. Wylądował na swym zwykłym miejscu przy śmierdzących paraszach. Tu już się nikt go nie czepiał.

Daliśmy mu potem spokój, jak dał mu spokój i korytarz z ustaleniem jego przynależności i personaliów. Nie umiał powiedzieć jak dawno i za co siedzi. Nie pamiętał swojej poprzedniej celi, ani oddziału. Uparcie twierdził, że zawsze był na dziewiętnastce. — Także ja tu był zawsze, jak przyprowadzili, zabrali... — ciągnął półgłosem, zasłuchany w jakieś dalekie swoje wspomnienia. Potem nagle milkł i ani biciem, ani groźbami nic od niego nie można było wyciągnąć. W ewidencji oddziału też nie było o nim śladu. Mieli sprawdzić w kancelarii, lecz major machnął ręką a wachmajster z przedpołudniowej zmiany spojrzał pytająco na niego — Bloedsinnig, nicht wahr? — i zatrzasnęli drzwiami. Od tego czasu korytarz nie interesował się nim, kazali go tylko wciągnąć do naszego stanu. Podejrzewaliśmy, że należał on do któregoś z transportów odchodzących do innych więzień i obozów. Przez przeoczenie i stały ostatnio zamęt w napływie i odpływie więźniów musiał się gdzieś zawieruszyć i pozostać na Zamku. Niektórzy zazdrościli mu niebywałego szczęścia. Aż któryś zauważył: — Kto wie, może go już z pięć razy na wolność wyczytali na innych celach, a jego tam nie było? — Bądź co bądź sprawa ta nie uległa wyjaśnieniu ani wtedy, ani później.

Zimowe dni były ciężkie i ponure. Okna naszej celi żeglowały po beznadziejnie szarym niebie, a myśmy się tłukli po niej, nie mogąc dnia zepchnąć. Drżeliśmy z zimna i głodu, przy apelach było nas coraz mniej, brakując wśród nas przechodzili na szpital — tyfus kładł jednego za drugim. Jednak nie to było najgorsze. W dni te może najbardziej żarła nas tęsknota za wolnością. Chandra wyżerała nas, podsuwała najdziksze pomysły niektórym. Nawet rozwałka, nawet straszliwe karne ćwiczenia innych cel przyjmowano z emocją, z wewnętrzną ukrytą radością, że to nie nam, że to innym grozi. Lecz w te dni nic się nie działo, nic nie było w stanie zabić robaka beznadziejności, który nas toczył. Przy stoliku komendanta Markowski z rudym Tońkiem próbowali grać w domino, oszukując i przeklinając się wymyślnie gwoli ucieczy widzów. Ale i to dzisiaj nie szło, widzowie się rozpierzchli kontynuując swój spacer zziębniętych dookoła celi, gracze leniwie zgarniali kostki do szuflady. Pudełeczko z setkami doborowych wszy, umieszczone nad drzwiami i cieszące się do niedawna dużym powodzeniem, też nie znalazło dzisiaj zainteresowania. Nikt się nie bił, nikt nikogo nie rugał. Zimno, głodno i do domu daleko, jak mawiały stare więzienne zakapiory. W celi było cicho, z korytarza dobiegał głuchy tupot biegnących nóg. To ostatnią celę wypuszczano na poobiedni ustęp. Nic się nie działo. My, setka ludzi stłoczona pośród czterech ścian na kilkudziesięciu metrach kwadratowych, przeżywaliśmy ten jeszcze jeden dzień w milczeniu.

Nagle odezwał się któryś od stołu starszyzny:

— Chłopaki się nudzą. Może byśmy tak cyrk znowu zrobili?

— To nie byłoby znów tak głupie, nie? — zgodził się komendant celi Samlowski. Mówił z niemiecka. — Takie małe Vorstellung..

Poparli go inni. Znalazł się hojny ofiarodawca pajki chleba dla Waśki-krasnoarmiejca za odtańczenie kozaka. Jednak Waśka, młodziutki, uśmiechnięty wiecznie i niefrasobliwy blondynek, który chętnie tańczył kozaka i za darmo, dzisiaj odmówił. Źle się czuł, coś go brało. Oczy jego straciły swój urwisowski wyraz, kiedy do nas mówił:

— Nie charaszo, tif...

Wtedy komendant rzucił grzmiąco na celę:

— Jamtury!

Przystanęli niektórzy w oczekiwaniu zabawy. Wypełzł gdzieś z kąta powłócząc spadającymi z nóg butami. Niezdecydowanie podchodził do stołu.

— Bliżej.

Oczy jego dzisiaj były jeszcze bardziej przymknięte, twarz skupiona surowo. Stanął przy samym stole jak niemy posąg, górując nad siedzącym.

— Chcesz jeść?

Wyciągnął rękę — czyżby tu były dla niego jakieś resztki?

Samlowski uśmiechnął się.

— Poczekaj. Dostaniesz dwie pajki chleba, widzisz — wyciągnął z szuflady dwa kawałki więziennego chleba z rannych porcji. Kombinowali go zawsze trochę więcej, niż opiewał stan prawdziwy celi. — Dostaniesz te pajki i może jeszcze coś, jak dasz Markowskiemu w mordę.

Markowski, stary, rosły cygan był jego prawą ręką w trzymaniu w posłuchu ogłupiałej, bezbronnej gromady tych chłopców, miejskich szmuglerów i złodziejaszków. Łobuz i zabijaka, jednym uderzeniem ręki rozciągał opornych. Jamtury nieraz poczuł jego twardą pięść.

— Tyś jest cygan i on cygan, dasz mu radę, nie? — podjudzał Samlowski. — Dasz mu raz w zęby, a chleb będzie twój.

Zrozumieliśmy żart komendanta. — Nie bój się, Jamtury! Nie nawalaj! Patrz Markowski ma pietra! Lej go! — odezwały się głosy z tłumu patrzących. Niektórzy o słabszych nerwach odwracali się od tej zabawy, bojąc się, że ten naprawdę uderzy Markowskiego, co byłoby straszne w skutkach.

Jamtury zbliżył się do siedzącego starego cygana. Zwalisty kloc poruszył się na ławie gotując się do skoku.

— No wal, nie bój się, chleb twój... — kusił starszy celi. Z tyłu zarechotano przypochlebnie. Zaległa cisza oczekiwania.

Przybłęda zatrzymał się nad Markowskim, jakby zawahał się, a może coś sobie przypomniał. Patrzyliśmy na jego twarz, przechodziła jakieś dziwne przeobrażenie. Jamtury uniósł powieki, po raz pierwszy widzieliśmy jego oczy. Były przedziwnie jasne i czyste jak oczy dziecka. Patrzył na Markowskiego. Uśmiech porozumienia, uśmiech przyjaźni wykwitł na jego ustach. Powoli, ostrożnie, jak to się czyni przy łóżku ciężko chorego, usiadł koło niego na ławie. Ręka jego spoczęła na sękatej dłoni bandyty.

— Ty z naszych... Ty mówisz naszym językiem... Znasz ty sioło Berezki?

Staliśmy zaskoczeni. Ktoś próbował dawnego — Bij go! lecz szybko zamknęliśmy mu usta. Markowski siedział nieporuszony, żadnym muskułem na twarzy nie zdradził nurtujących go uczuć.

Jamtury mówił swym śpiewnym głosem, a nam wydawało się, że śpiewa jakąś dawno zasłyszaną przez każdego z nas opowieść. Może śpiewały ją nam kiedyś matki?

— Nie znasz sioła Berezki? Oj, żałuj, nigdzie nie zobaczysz piękniejszych dąbrowin szumiących nad brzegiem rzeki, nigdzie nie ujrzysz piękniejszych pól i łąk zielonych. A zboże tam złote, wysokie, wejdziesz i schowasz się w nim. A stawy tam rybne, kąpiesz się latem, a leszcz między palcami ci ucieka. A sady kwitnące widziałeś?

— Powiadasz, sady kwitnące — zmarszczył swe wąskie czoło Markowski — powiadasz, takie białe, pachnące kwiatuszki na wiosnę? Zaraz, zaraz, opowiedz no o tym...

Staliśmy. Więzienny dzień zimowy przy ponurych krzykach wachmajstrów dobijał do zmierzchu.

Gdzieś szczęknęły zasuwane drzwi. Korytarzem dudniły ciężkie kroki powracających więźniów. Jamtury rozpoczął:

— U nas w siole Berezki biało kwitną sady na wiosnę...

Jan Tadeusz Zaleski

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

W numerze 40 »Odrodzenia« zawiadomiliśmy, że Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości 100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dnia święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w rękopisie na ręce jury do dnia 1 maja każdego roku. Skład jury będzie podawany do wiadomości corocznie 1 maja.

STANISŁAW PIĘTAK

Front nad Wisłą

I

Znowu minął dzień.

— No i co, no i co? Świat się kończy — skamlał rano stary Michalski — Oni gotowi tu zostać.

Dziadek Sudoł tylko wzruszył ramionami i splunął. Artyleria biła bez przerwy tego dnia i czołgi były w akcji. Działa stojące za wsią ostrzeliwały Sobów i to główne jego krańce, północny i południowy i podpaliły go na znacznej długości szerokimi pożarami.

— Sobów się poli, nas Sobów — szeptali ludzie, z lękiem wybiegając za stodoły i patrząc pod słonko.

— Cy to nie dom Kaspra Wróbla? Moi drodzy, widać przecie kaplickę.

— Ale dlocego się to poli? Od cyich pocisków? — mówił jakiś chłop z przewiązaną gębą i kręcił niespokojnie karkiem.

— Hm — chrząknął dziadek Sudoł i zmarszczył brwi. — Albo Sowieci tam są, albo?

— Jak godocie, kumie?

— Albo te sukinsyny Niemcy podpolają — kończył dziadek twardym głosem. — Przecież ich znomy, granat taki rzuci i w kolibkę dziecka.

Na wzgórzu w południowej stronie Sobowa pożar rozszerzał się coraz bardziej. Po upływie zaledwie paru chwil ukazywały się puste, przestrzenne miejsca i drzewa rzadkie, osmalone dymem. Ruch na szosie był dzisiaj mały, z rzadka tylko szły po niej małe wozy z amunicją. Cała prawie komunikacja przeniosła się na polne drogi, na wał wiślany, bo artyleria rosyjska macała szosę na całej niemal odległości od Sandomierza do Tarnobrzega.

Michaś patrząc na bezustanne kawalkady po polnych drogach, na patrole na koniach sunące tu i tam, wyszedł na wieś. Co chwila ktoś donosił, że pocisk wpadł w dom, czy w stajnię u tego, to u owego na północnym końcu wsi. Ludzie gromadkami, niosąc drobny dobytek, pierzyny, poduszki, koszyki z jedzeniem, pędzili ku kościołowi, by dostać się jeszcze do podziemi. Raptem na drodze koło stawu pojawiła się kupka kobiet i mężczyzn ze Sobowa. Jakiś chłop miał pokrwawioną twarz, kobieta znowu szła niosąc dziecko na plecach i jęczała.

— A chałupa Kaspra Wróbla? — zawołał znów ten sam żałosny głos kobiecy, co przedtem o to samo pytał za stodołami.

— Nie pytajcie nawet, Tudorko, koniec świata — szepnęła kobieta z dzieckiem.

— Co się tam u wos dzieje? Ruskie tam są, cy Niemcy?

Chłop ze skrwawioną głową nawet nie popatrzył, oglądając się przerażonymi oczyma, bo znowu pocisk gwizdnął gdzieś bardzo blisko, poleciał co sił ku kościołowi. Jakiś młody człowiek, zdaje się kuzyn młynarza, przystanął jednak i oparł się o akację.

— Moi drodzy, to tak jest — górka, stacja i ze sto domów jest w rękach Ruskich — w pozostałej części są Niemcy. Bitwa trwa już trzeci dzień.

— No, dobrze, ale dlocego poli się ten koniec Sobowa od strony nos? Godocie przecie, ze bój idzie na górze.

— Dlaczego — pan się pyta? Raz, że Ruskie atakują i od młyna, po drugie — ech, co to roztrząsać — ci palą.

— Dużo zginęło ludzi?

— Nie zliczyć. Co tu można wiedzieć, gdy artyleria bije bez przerwy. W każdym razie cała rodzina Motyki Wojtka, Franek Grazda. No, a Józię Matrasównę to Niemcy powiesili.

— A za co, za co, mój Boże, powiesili?

Nagle rozległ się znów płaczliwy głos.

— Co z Kasprem Wróblem? Z tym spod kaplicki? Opowiedzcie ludzie kochane.

— Widzieliście Ruskich? — pytał tymczasem opartego o akację młodzieńca profesor Stępień, który się tu zjawił w koszuli i bez czapki.

— Byli trzy razy u nas. W pierwszy dzień bitwy, przed tygodniem i ostatnio dziś w nocy.

— Jak się zachowywali?

— Bardzo dobrze. Prosili o mleko, o trochę chleba.

— Dlaczego nie cofnęliście się z nimi?

— Nie chcieli brać. Zresztą dokąd pójść, panie profesorze — straszny ogień, kule, jak szarańcza, lecą.

„To wszystko się boi. Jak to jest? Więc czy i żołnierz się boi? Dlaczego więc bije się? Dlaczego umiera?" — myślał Michaś — i patrzył ostrym, mimo woli wzgardliwym wzrokiem na młodzieńca opartego o akację i na profesora.

„Gdyby się z największą odwagą szło na śmierć, gdyby się nie lękało niczego, to by przecież już dawno było po panowaniu niemieckim".

Znowu zaczynał roić, że się przedrze do Sowietów, że zaniesie im raport o położeniu niemieckim, o ilości artylerii i wojska.

Z zadumy wyrwał go rozpaczliwy szloch ludzki, że palą się domy na szosie. Chwilę ludzie stali, jak skamieniali nie wiedząc, co czynić — nagle potem zaczęli jednak biec za stodoły. Michaś poleciał też i przybył pierwszy na otwarte pola. Nie paliły się to jednak domostwa na szosie, ale chałupy stojące koło drogi lecącej na Sobów. Ogień był gwałtowny i z wielu stron. Ledwie Michaś zdołał dolecieć do szosy, a już kominy poczynały się obnażać, dachy się zapadały. Wyrastały na miejscu pięknych zabudowań uwędzone w rudym ogniu drzewa, szkielety pieców, pustkowia żałosne, do których trudno oczy przyzwyczaić.

Michaś chciał iść na samo miejsce wypadku, ale zatrzymał go Niemiec — podoficer patrolujący z kilkoma żołnierzami kraj wsi.

— Weg! — krzyknął. — Weg! Bo strzelę!

Plącząc się tu i tam, Michaś cofnął się i zawrócił do domu.

Przybył na ulicę właśnie w takim momencie, gdy stał tam lekki wózek zaprzężony w dwa młode konie. Koło wózka stało dwóch podoficerów i pytało dziadka o drogę polną na Tarnobrzeg.

— Potrzebna nam najkrótsza i najbezpieczniejsza — wołał tłusty Niemiec z malutkimi, niebieskimi oczami na piegowatej twarzy.

— Właśnie — odpowiadał dziadek i krzywił pociesznie gębę, co zawsze robił, gdy był zadowolony.

— Pojedziecie najpierw do wału, a potem do szosy — i znowu do wału — mówił tak przekonującym tonem, że mało kto byłby się połapał, że to kpiny.

— A jak tam, proszę pana, front? — zapytał naraz Fidelus, wystawiając łysą głowę zza płotu.

— Powiem wam w tajemnicy — radował się Niemiec. — Dziś o ósmej generalny nasz atak się rozpoczyna tu na tym przyczółku. Rozbijemy zupełnie Sowietów — zobaczycie!

— Hę? Hę? — wybąkał Fidelus, jakby nie dowierzał.

— I pójdziemy z powrotem na Kijów, na Moskwę, na Leningrad.

— Hej, ale przecie mocie Anglików na karku — powiedział najniewinniejszym w świecie głosem dziadek i podwinął nogawicę mimo woli aż do kolana. Podoficer zapatrzył się na przeraźliwie suchą, żylastą łydę dziadka i w pierwszej chwili jakby zgłupiał.

— Tylko dwa tygodnie — i tamci kaput! — krzyknął nagle ze złością.

Puszając się, napinając brzuch siadł na wóz i kazał jechać w stronę wału.

Coś jednak żołnierzom mówiono o ataku wieczorem, bo wszyscy o tym mówili. Czynione były i przygotowania, bo pięć czołgów tuż przed zachodem słonka wyjechało szosą od Sandomierza i skręciło w alejkę brzóz przed Sielcem do lasku „Jasień". Lasek przytykał niemal do górki sobowskiej, na której od dwóch dni trwała uporczywa bitwa — więc coś to musiało znaczyć!

I dziadek i Michaś i profesor Stępień, nawet stary Fidelus, mieli miny niewyraźne, zatroskane.

— Ech, skąd on tyle siły bierze? — bąknął Fidelus.

Stach Tudor, który bił tego dnia trzecią świnię i był czerwony i podpity, podszedł od swojej bramki i zbliżył się do chłopów.

— Nie mówiłem wom — jeszcze dużo wody upłynie, nim go powalą.

— Hm, gdyby tacy jak ty, wszyscy byli dzielni, to by prędzy poszło, nie? — rąbnął dziadek Sudoł.

— Cóż to, wom się nie podobo?

— A bo pan jest kłamca. Udaje pan członka organizacji, a bije pan świnie i handluje z Niemcami! — krzyknął nagle Michaś i stanął przy dziadku.

— Milcz, smarku, nie pytom ci się o nic!

— Spokojnie, Michaś — nie rzucaj słów na darmo — odezwał się powoli profesor. Zapadło milczenie, które przerwała dopiero stara Fidelusowa.

— Wita, — rozpoczęła — moja Zośka wróciła z tamtego końca wsi i mówi, że na drodze na Sobów ukryte pod wirzbami stoi sześć czołgów, przygotowanych do najdrobniejsego cała do ataku na Ruskich. Znajdują się tam i furmanki i auta z benzyną.

Już dobrych kilkanaście chwil przeszło, jak słonko zaszło. Ludzie ani się nie spodziewali, a tu już zmierzch niebieski nadchodził i nów cieniutki ukazał się nad łąką na niebie. Naraz bryznęła artyleria i to ze wszystkich dział, że ziemia zdawała się uginać od huku. Huraganowy ogień dział trwał może kilkanaście minut. Dopiero, gdy osłabł na chwilę wysunęły się czołgi i podjechawszy w ciemnościach pod wzgórze sobowskie, oddały też gwałtowne strzały na pozycje rosyjskie.

— Teraz piechota idzie do ataku — szepnął profesor.

— Ano, za długo to trwo — niech się rozstrzygnie...

— Pewnie, ze tak — odezwał się ponuro Tudor, gniewny jeszcze mocno po rozmowie z dziadkiem Sudołem.

Rakiety szły raz po raz na niebo i to czerwone, zielone, białe. Krwawiła się łuna jak rana olbrzymia, cała zachodnia i środkowa część Sobowa — ogień dział nie słabł, ale zdawał się wzmagać do piekielnej wprost szybkości.

Znienacka jednak wszystko ucichło.

— Co się to dzieje — jaka to cisza! — wybełkotał Fidelus.

— Poszli naprzód najwidoczniej.

MALARSTWO FRANCUSKIE



AUGUSTE RENOIR (1841—1919) **Kąpiel w Sekwanie** (olej)

Michaś nie mógł ustać na nogach i łykając wśród rozrywającej go żałości łzy, wybiegł za stodoły.

„Czyżby znów niewola?“—szeptał.—„Boże, ja pójdę naprzód, ja się dostanę na tamtą stronę“. Zdumiał go jednak turkot niespodziany na szosie. Wozy pędziły wielkimi ciągami, wszakże nie na Tarnobrzeg, lecz z powrotem.

— Słuchajcie, nie poszli naprzód, cofają się! — krzyknął, podbiegając w największym pędzie do chłopów.

— Tak; słychać najwyraźniej turkot od strony Tarnobrzega i od strony Sobowa — przemówił profesor. — Widać ten atak wieczorny służy im do maskowania się.

— Słyszę czołgi — powiedział nagle Tudor. — Jadą do wsi.

— Artyleria jednak nie odjeżdża!

— O, ona pojedzie ostatnia, bądźta pewni. Przecież i piechota musi się cofać.

— No, teraz trzeba uważać, gotowi brać ludzi, gotowi podpalać — rzekł profesor. — Ja się idę skryć. Uważajcie ta, Sudoł, na moich, jakby się co złego stało.

Nów stał naprzeciw nich w gałęziach; karabiny maszynowe słychać było ze wszystkich stron, nawet i nad Wisłą. Pożar znów po kilku dniach przerwy wybuchł na stacji w Sandomierzu.

— Dałbym im, niech tylko przyjadą. Karabin po moim Adamie jeszcze jest — potrafię po niego sięgnąć. Tudor, gniwoj się ta, bo gniwoj, ale przecie nie powis Niemcom, ze jo rozbójnik!

— Kaźmirzu, zlitujcie się, co wy?

Tylko Fidelus nic nie mówił, ale wziął kapelusz i poszedł na wieś.

„Niech tą mądrale rezykują, jo pójdę na szosę — konia jak cacko muszę zdobyć, a może jeszcze co innego?“ — myślał.

Rzeczywiście nie wrócił z gołymi rękami.

Wszyscy się rozeszli i na ulicy zostali tylko dziadek i Michaś.

— Idź spać do stodoły — nie spałeś przecie tyle nocy. Jo domu przypilnuję — szepnął dziadek.

— Nie pójdę.

— Ano, psia paro, jakeś taki zawzięty, to pilnuj, a jo idę.

— Idźcie, dziadziu.

Wychodził na łąki, nasłuchiwał ruchu wśród artylerii stojącej w pszenicy dworskiej, turkotu na szosie i we wsi i znowu wracał na przyzbę do domu. Łuna stała dzisiaj wysoko na niebie. Gorzały wśród tryskającego dymu magazyny w Sandomierzu, rozlegały się straszliwe detonacje — najpewniej Niemcy wysadzali w powietrze mosty i budynki.

„To nic. Przyjdzie wolność po dniach zniszczenia“ —szeptał Michaś i że nacichało coraz bardziej na świecie, wstawał i walczył ze snem. Powieki mu się kleiły i raz po raz musiał się wstrząsać, bo zwidywało mu się coś na łące wśród cieni. Nad Tarnobrzegiem na niebie tkwiły rakiety złote, co chwila zapalając się w innym miejscu — on nie wiedział, że to Niemcy próbują bombardować przeprawę rosyjską na Wiśle, brał to za zdobywanie miasta. Chciał za wszelką cenę doczekać się patroli rosyjskich, ale w pewnej chwili poczuł chłód i usiadł przy kopce na ogrodzie wtulając się głęboko w siano. Jeszcze chwilę pamiętał, co się dzieje, ale w niedługo potem powieki opadły mu naprawdę.

Zasnął skulony we czworo, jak kot ze schowaną pod siebie głową, nogi podwinąwszy wysoko, o ręce wbite w siano oparłszy czoło i wpółotwarte w oddechu usta.

II

— Michaś, pieronie, Ruskie we wsi, a ty śpis? — krzyknął w pewnej chwili dziadek i uszczypnął go w kark. — Po całym obyjściu cię szukom, a ty tu?

Michaś otwarł zaspane oczy i przez chwilę patrzył na dziadka w oszołomieniu. Trwała zupełna cisza i słonko już było dobry krok nad polami.

— Gdzie są? — zawołał i zerwał się momentalnie.

— Idą przez wieś. Chodź! Chodź! Naród wariuje z radości! — Nie otrzepawszy się z prochów siana pognał co siły w nogach Michaś przez ulicę.

Akacje zieleńsze po rosie, całe w błyskach rannego słońca, stały przy płotach, kury zbudzone wyskakiwały z kurnika u Stępniów. Z daleka, jeszcze nie dobiegłszy do drogi, ujrzał Rosjan. Szli gęsiego, to w dwójkach, nie zatrzymywali się. Szare szynele i młode twarze, uwaga, ale i wesołość w oczach. Przodem szedł młodziutki lejtenant, dwudziestoletni najwyżej i śmiał się, pozdrawiał chłopów, baby i dziewczyny stojące przy drodze.

Ale oto stara Stępniowa wyskoczyła niosąc garnek mleka i bułkę chleba i postawiła to na środku szosy. — Napijta się, zjidzta, takieśta znużone. No, prosę, nie gardźta tym kawołkiem chleba.

— Spasibo. Nie ma czasu — odpowiadał lejtenant i szedł jeszcze bardziej lekkim krokiem. — Rozkaz, musimy dojść do Wisły.—Szło coraz więcej żołnierzy nawet jeden kulejący i starszy. Wszyscy prosto przed siebie. Tudor w koszuli, zdaje się jeszcze od wczoraj pijany, wybiegł nagle i z rozgwarem wielkim zaczął rozdawać papierosy.

— Mota. Mota... Ostatnie mienie wom dom. Wódki jeszcze trochę jest!

— Siejczas niet — odpowiadali żołnierze i wciąż szli w kierunku Wisły.

Naraz pojawiły się pierwsze wozy zaprzężonę w niskie, kudłate koniki, ciągnąc małe działka. W tyle jechał tęgi, rumiany starszy lejtenant na jasnogniadej kobyle i co chwila salutował chłopom, co z kapeluszami w dłoni stali pod akacjami.

— Tylu was młodych jest! No, smykami będziecie, jak nie wstąpicie do wojska! Za nami idzie wasza polska armia! — zawołał wesoło.

— Armio, jako armio? — poskrobał się stary Michalski po głowie.

— Cicho, słuchoj. Na rezykę, psia paro, będzies mioł jutro cas — powiedział dziadek Sudoł i zbliżył się do oficera.

— A duzo jest ta naso armio? — spytał.

— Wielka. Nie wiem dokładnie, ale chyba ponad sto tysięcy!

— To i ty, stary, pójdziesz się jeszcze bić? — zaśmiał się.

— A co pon myśli, ze nie? Stary ochotnik jezdem, walcyło się w nojcięzsych chwilach w 1917 i 18-ym roku we Francji.

Ponieważ tabor zatrzymał się pod Spółdzielnią, Stępniowej wreszcie opróżniono garnek. Żołnierze pili mleko i kawę, kładli chleb do kieszeni. Pojawił się teraz Tudor z flachą wódki i śmiało przystąpił do wozu.

— Towarzysz, na zdrowie! — nalał kieliszek i podał żołnierzowi, który chleba miał jeszcze pełne usta i kawałek sera brał od Stępniowej do kieszeni.

— Panowie a gazet jakich nie macie? Dajcie nam gazet — podniecał się profesor Stępień, z odkrytą głową, z podbitymi od niespania oczyma chodząc, od wozu do wozu.

Michaś stał — łzy czuł w gardle, a równocześnie jakieś uczucie dumy, uczucie jakby ścierał brud z ciała i opłukiwał się świeżą, czystą wodą, obejmowało go całego.

— Hej, zuchy a kto mi wskaże drogę na Koćmierzów? Kto nas poprowadzi do Wisły? — krzyknął nagle basem wesoły starszy lejtenant i siadł na konia.

— Ja, — powiedział Michaś z naciskiem i stanął przed nim.

— Umiesz jeździć na oklep, to siadaj na kobyłę, która tu idzie za wozem.

— Michaś, smyku, ale wracoj zaroz — na wojnę mos jeszcze cas pójść — chrząknął dziadek. — On jednak przejęty, podniecony nie słyszał, odwiązał karą kobyłę i skóczył na nią szybko, że tylko czarna czupryna mu się szarpnęła do góry.

Jechali za wozami, które wolno kierowały się drogą na Wisłę. Cicho było, że aż to dziwiło — ani jeden strzał nie padł, ani daleki pomruk samolotu się nie odezwał. Za szerokimi pastwiskami, za kępą olbrzymich, zielonych drzew, stał Sandomierz. Stacja, port Nadbrzezie dymiły i rozpościerały się ogniem, który jeszcze nie wygasł. — Samo miasto wszakże stało nienaruszone, spokojne w rannym słońcu, świecąc wystrzelającymi po wszystkich stronach wieżami kościołów.

— Czy Sandomierz też zajęty? — spytał Michaś.

— Stacja.

— A wasze wojska są już za Wisłą?

— Jakżeby nie? Czterdzieści kilometrów w głąb. Połaniec, Koprzywnica, Staszów są w rękach naszych. W ogóle pognali my germańca — a?

— O, tak, zwycięstwo, olbrzymie zwycięstwo.

— A jak ciebie zwać, towarzyszu?

— Michał.

— A no, Michel, za wałem to Wisła — a?

— Tak, Wisła.

— Skręcimy tu — postawimy konie i wozy pod wierzbami, obsadzimy działka.

Można już było widzieć połyskującą w słońcu Wisłę, ciemne zakątki łach w zaroślach. Dojechali tylko do pierwszych chałup i skręciwszy pod kapliczką, wokół której zebrała się cała kupa chłopów, bab i dzieci zagapionych z szeroko otwartymi oczami, stanęli przy polach.

Wysłany na zwiady żołnierz wrócił zaraz mówiąc, że ani śladu nie ma z Niemców, brzegi są zupełnie puste.

— W takim razie jazda dalej — zajmujemy stanowiska w kępie! — zawołał starszy lejtenant.

— Michel, a ty co, pojedziesz jeszcze z nami?

— Ja chcę, ja pragnę — szepnął Michaś.

Wozy ruszyły wolno, a oni pogalopowali w cieniu wierzb w trzy konie, galopem wyjechali na odkryty wał i naraz jeszcze prędzej opuścili się z górki w kępę nadrzeczną, zarosłą wikliną i prastarymi, olbrzymimi topolami. Michaś tak jak tamci uwiązał kobyłę i naprężonymi w świetle słońca oczyma rozglądał się na wszystkie strony. Wisła płynęła ledwo dosłyszalnie, lśniąc się do słońca. Wyspy, które cięły ławicami jasnego piasku wodę co kilkaset metrów, zdawały się wyrastać wyżej, rozpychać się cielskiem w stronę zielonych brzegów.

— A jakby tak spróbować, Mitia, na tamtą stronę — a? — rzucił starszy lejtenant. — Być może cofnęli się dalej?

Niski, z burymi, twardymi oczyma starszyna, który przyjechał jako trzeci do kępy, nie powiedział nic, tylko zaczął się rozbierać.

— A ty, Michel, pływasz?

— Bardzo dobrze. Przecież ja wychowany tutaj.

— I nie boisz się? Mów prawdę.

— Ja, ja? Mój ojciec zginął, mój dziadek był ochotnikiem w tamtej wojnie.

— W takim razie płyń ze starszyną, pokażesz bród. Od wyspy się cofniesz.

Starszy lejtenant został na brzegu w zaroślach, a oni rozebrawszy się szybko, chyłkiem zeszli ku rzece i rzucili się z cichym pluskiem w wodę. Trzeba było płynąć przez prąd jakie 30 metrów, potem było już płytko — i wyspa. „No, wreszcie nadszedł czas mój. Ach, jak dziadek byłby dumny ze mnie, gdyby wiedział, co robię“—pomyślał mimo woli Michaś.

Na moment nad wodą mignęła mu ulica — Fidelus, Michalski, profesor Stępień, Tudor. Stał przed gankiem — połowa ulicy była w świetle, połowa w cieniu i opowiadał, że takie było słońce jasne, a woda przecież zimna. Płynęli prawie bez szelestu.

Stanął już, bo grunt był i na klęczkach szedł ku wyspie, gdy wtem gwałtownie zaterkotał karabin maszynowy i kule zaczęły gwizdać raz po raz koło niego.

— Niemcy! — syknął starszyna idący z tyłu tak samo na bałyku i dał nurka od razu, potem drugi raz znowu, złapawszy tylko oddech. W kilka sekund był na brzegu i czołgając się, dostał się w zarośla za nasyp wysoki.

— Towariszcz lejtenant — Niemcy! — wołał.

— A gdzie ten mały Polak? Odwrócił się i patrzył za siebie. Prawie u brzegu wyspy leżało ciało Michasia. Nawet nie było znać, czy twarz jest w wodzie, czy na wierzchu.

Stanisław Piętak

W poprzednim (64) numerze „Odrodzenia“ z dnia 17 lutego: **Franciszek Gil:** Żniwo wielkiej reformy. Chłopskie gimnazjum w hrabskim pałacu. — **Halina Maria Dąbrowska:** Przez okno. — **Tadeusz Różewicz:** Postój. Pacyfikacja. — **Antoni Bolesław Dobrowolski:** O praktyczności nauk niepraktycznych i potrzebie Ministerstwa Nauki. — **Józef Sieradzki:** Czerwone i czarne. — Malarstwo polskie (**Aleksander Gierymski:** Przed pogrzebem). — **Julian Przyboś:** Na linii poetyckiej. — **Henryk Vogler:** O poetyce Antoniego Słonimskiego. — **Antoni Słonimski:** Granica. — **Krystyna Kuliczkowska:** Refleksje pogwiazdkowe o wydawnictwach dla dzieci. — **Wacław Kubacki:** Trzeci list z Poznania. — **André Billy:** Literatura francuska w 1945 r. — **Zbigniew Bieńkowski:** Droga przez zwątpienie. — **Henryk Vogler:** Majakowski po polsku. — W teatrach krakowskich (**Stefan Otwinowski:** „Jajko Kolumba“. **Juliusz Kydryński:** „Bajka“). — **Marian Promiński:** Kronika filmowa. — **Zygmunt Mycielski:** Życie muzyczne. — **Irena Barowa:** Czy sezam zamknięty? — **Artur Sandauer:** Szekspir był ssakiem. — Rzeźba Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w schronie norymberskim. — **zb:** Przegląd prasy. — **mpr:** Jubileusz rozgłośni krakowskiej. — Wielkosłowie. — 8 ilustracji — 12 stron.

Kronika kulturalna ZSRR

Orientalistyka

Sesja naukowa Instytutu orientalistyki Akademii Nauk ZSRR, odbyta z okazji jubileuszu Akademii, wprowadza w działalność, kierunek i stan prac orientalistów radzieckich, skupiających się w trzech grupach: historycznej, filologicznej i literaturoznawczej.

Członek Akademii W. Struwe przedstawił na sesji fragment pracy poświęconej historii państwa perskiego Achemenidów, — dzieje wyprawy Dariusza I w roku 517 na Saków-Massagetów, którzy koczowali na stepach na wschód od morza Aralskiego. O „Handlu jedwabiem na bliskim i środkowym wschodzie w IV—VII wieku“ mówiła dr N. Pigulewskaja, autorka prac, częściowo już opublikowanych, z dziedziny skomplikowanych problemów przyjęcia się, rozwoju i zwycięstwa feudalnego ustroju na bliskim Wschodzie w okresie wczesnego średniowiecza. Ekonomista dr W. Sztejn dał paralelę pomiędzy „Dawną myślą ekonomiczną chińską i grecką“, opierając się na znajomości źródeł starożytnych Chin i antycznej Grecji.

Na tematykę grupy filologicznej składały się zagadnienia indyjskiego eposu, gramatyki języka koptyjskiego i iranistyki. Szczególną uwagę skupił na sobie odczyt „O kalendarzu achemenidzkim w świetle naszych odkryć“ A. Frejmana, któremu udało się wykryć nazwy czterech nieznanych dotąd miesięcy — z nazw staroperskich znano tylko ośm miesięcy — na podstawie zestawienia kalendarzy staroperskiego, starobabilońskiego i elamskiego, dzięki zachowanym dokumentom w języku elamskim.

W grupie literaturoznawstwa członek akademii J. Kraczkowskij zaznajomił uczestników sesji ze swą pracą o historii rosyjskiej arabistyki, monografią opartą na biograficznym i bibliograficznym słowniku, opracowanym przez rosyjskich i radzieckich arabistów przed wybuchem wojny i oddanym do druku. W tematykę grupy wchodziły również zagadnienia z dziedziny literatury chińskiej, a w obradach uczestniczył historyk literatury chińskiej, Chińczyk profesor Go-Mo-Żo.

Na posiedzeniu moskiewskiej grupy orientalistów generalny sekretarz Polskiej Akademii Umiejętności prof. Tadeusz Kowalski scharakteryzował rozwój polskiej orientalistyki. Jeden z jej głównych organizatorów po pierwszej wojnie światowej, wybitny specjalista w dziedzinie dialektologii tureckiej i literatury arabskiej, prof. Kowalski upatruje początki zainteresowań w Polsce dla Wschodu w źródłach XIII wieku, po pierwszych najazdach Tatarów. Znajomość Wschodu ulega pogłębieniu w okresie ekspansji tureckiej, a wpływy orientalne znalazły w Polsce wyraz w XVII wieku w „modzie“, w stroju, ceremoniale, orężu, sztuce itd. Mienickiego „gramatyką turecką“ i słownikiem języka tureckiego posługiwano się w Europie w XVII, XVIII i jeszcze z początkiem XIX wieku. Za Stanisława Augusta powstała w Konstantynopolu szkoła orientalistów, która kształciła dyplomatów i urzędników dla Bliskiego Wschodu.

Polscy orientaliści w XIX wieku wychodzili głównie ze szkoły petersburskiej i wnieśli poważny wkład do nauki rosyjskiej. Szereg rosyjskich uczonych orientalistów był pochodzenia polskiego: O. Kowalewskij, autor „Słownika mongolskiego“ i „Gramatyki mongolskiej“, J. Sienkowskij, arabista, znany w literaturze pięknej jako baron Brambeus, August Żab, kurdolog, A. Muchliński, autor dzieła „O wschodnich elementach w języku polskim“. W drugiej połowie XIX wieku działał znakomity mongołolog Władysław Kotwicz, który zmarł w Wilnie w 1944 roku; jako badacz Jakutów zasłynął E. Piekarski.

W polskich czasopismach poświęconych orientalistyce uczestniczyli również rosyjscy uczeni, np. członek Akademii J. Kraczkowskij. Profesor Kowalski wyraził pewność, że orientalistyka polska pomimo poważnych strat, które poniosła w czasie wojny wskutek niszczycielskiej działalności Niemców, odrodzi się w pełni, w głównej mierze dzięki współpracy i w łączności z nauką radziecką. („Wiestnik Akadiemii Nauk SSSR“ 1945, 7—8).

js

Studium Akwafortowe im. Ign. Niwińskiego

Od dłuższego już czasu istnieje w Moskwie „Studium Akwafortowe im. Niwińskiego“, swego rodzaju scheda artystyczna po zgasłym przed kilkunastu laty utalentowanym malarzu i rytowniku Ignacym Niwińskim, Polaku z pochodzenia. Studium skupia artystów stolicy radzieckiej, którzy kultywują szlachetną sztukę akwaforty i wielorakich jej odmian i tutaj mają możność drogą prób i ćwiczeń udoskonalić swoją technikę rytowniczą. W tym też celu studium od czasu do czasu urządza odczyty z zakresu tej techniki oraz niewielkie wystawy, które mają zaznajomić młodych akwaforcistów z arcydziełami znakomitych ich poprzedników z epok mniej lub bardziej odległych.

Tegoroczna pierwsza wystawa poświęcona jest akwaforcie zachodniej XVIII w., gdy artyści różnych krajów uprawiali ten rodzaj sztuki ze szczególnym zamiłowaniem. Materiału dla pokazu dostarczyły zbiory kolekcjonistów radzieckich, więc też wystawa nie imponuje rozmiarami, na co zresztą nie pozwoliłby i lokal Studium. Daje jednak należyte przedstawienie rozwoju akwaforty w czasach rokoka i czołowych jej osiągnięć.

Oto bowiem z twórczości francuskiej — z natury rzeczy przodującej — brak na wystawie oryginalnych utworów świetnych i najbardziej technicznie doskonałych mistrzów: Gabriela de Saint-Aubin i Fragonarda. Fragonarda reprezentuje tylko znakomita rycina kolorowa ze znanego jego malowidła „Le Baiser à la derobée“, wiszącego obecnie w leningradzkim Ermitażu, a należącego kiedyś do kleinotów galerii obrazów Stanisława Augusta. Za to mamy tu całą grupę pierwszorzędnych rytowników francuskich, dobrze znanych z pięknych ilustracji do arcydzieł francuskiej literatury klasycznej, jak Karol Eisen, Moreau le Jeune, Gravelot Choffard i Marillier, obok nich znakomicie reprezentują wykwintną rycinę barwną Debucourt i L. M. Bonnet. Interesują też prace I. B. Le Prince'a o motywach rosyjskich oraz prace półdyletanta Vivant Denona, który w okresie późniejszym, za Napoleona, był dyrektorem wszystkich muzeów państwowych.

Z twórczości włoskiej zachwycają przede wszystkim śliczne, prawie już impresjonistyczne, kompozycje fantastyczne G. B. Tiepolo; swoim mistrzowstwem przykuwa uwagę Piranesi. Hiszpańską akwaforte reprezentuje niemal w całości Franciszek Goya, zaś Anglię XVIII stulecia charakteryzują: moralizujący Hogarth, pełny temperamentu karykaturzysta Rowlandson, który może wywarł wpływ na naszego Aleksandra Orłowskiego, oraz zanglizowany Włoch Bartolozzi, celujący głównie w portretach rytowanych.

Dwaj artyści na wystawie „Studium im. Niwińskiego“ związani są z Polską. Jednego, mimo pochodzenia, do sztuki polskiej zaliczyć niepodobna, drugi, choć obcokrajowiec, wybitną w niej rolę odgrywał. Mowa oczywiście o Chodowieckim i Norblinie. Szkoda, że jedynie drobna akwaforta Norblina znalazła się w zbiorach prywatnych, ale i ona doskonale oddaje typ polonusa. Twórczość Chodowieckiego natomiast obficie reprezentowana jest ilustracjami, wśród których zwraca uwagę i temat polski „Dwaj flisacy“, wykonany zapewne w Gdańsku.

Wystawa jest zbyt skromna, by możliwe były uogólnienia. Jednak porównując plansze Chodowieckiego z utworami jego współczesnych kolegów niemieckich trudno nie zauważyć, że przewyższa ich elegancją, umiarem i gustem. Po części sprawił to niezawodnie wpływ wszechwładnych w tej epoce mistrzów francuskich, ale w pewnej mierze chyba i pochodzenie, krew lżejsza, po przodkach polskich odziedziczona.

Paweł Ettinger

TADEUSZ HOŁUJ

Zapomniana rewolucja

W stulecie wybuchu rewolucji krakowskiej

Od „Kuźnicy kołłątajowskiej“, Konstytucji 3 maja prowadzi droga polskiej demokracji do PKWNu poprzez jakobinów polskich, uniwersały kościuszkowskie, przedlistopadowe Towarzystwo Patriotyczne i Klub Rewolucyjny 1830 roku, poprzez Towarzystwo Demokratyczne Polskie, Lud Polski na emigracji i spiski demokratyczne w kraju, rewolucję krakowską z jej lewicowym manifestem, wiosnę ludów, ruch Czerwonych, rok 1905, rząd lubelski.

Najmniej znanym ogniwem polskiej myśli demokratycznej jest bez wątpienia rok 1846, wobec którego dotychczasowa literatura piękna i historyczna zajmowała stanowiska tendencyjnie fałszywe lub uczuciowo jednostronne. Tragiczny węzeł rabacji chłopskiej w Galicji i rewolucji społecznej nie doczekał się dotychczas rzeczowego oświetlenia politycznego, a teraz, w powodzi rocznic i obchodów, stulecie wypadków z 1846 roku ginie niedocenianę, przemilczane.

ŹRÓDŁA KLĘSKI

Rok kościuszkowski przywodzi nam na pamięć linię podziału, jaka wyraźnie zarysowała się w walkach narodu polskiego o wyzwolenie. Kościuszko wraz ze swym uniwersałem połanieckim stoi prawie że samotnie po jednej stronie tej granicy; obóz szlachecki, niechętny jakobińskim pomysłom Naczelnika, zwartą gromadą znalazł się po drugiej stronie. Nie udało się poruszyć mas chłopskich, lecz już wówczas rozumiano, że bez nich wszelka walka o niepodległość będzie daremna. Ta świadomość przyświecała radykalnej partii powstania listopadowego, ta świadomość znalazła wyraz we wniosku Szanieckiego na sejmie rewolucyjnym: **przekształcenie ustroju społecznego jest naczelnym warunkiem uzyskania niepodległości.** Masy ludowe będą bić się o Polskę, jeśli ona będzie ich ojczyzną, jeśli będą czuć się jej obywatelami. Aby takimi byli, trzeba ich uwłaszczyć. Emigracja polistopadowa, jej lewicowe i umiarkowane skrzydło, zdawały sobie sprawę z tego pierwszego prawa niepodległości, trzeba było jednak zuchwałej mowy Tadeusza Krępowieckiego na paryskim obchodzie rocznicy Powstania Listopadowego, aby linia podziału zarysowała się wyraźnie, rozbijając emigrację na obóz znajdujący źródła klęski narodowej w niepołączeniu walki o niepodległość z walką o wyzwolenie społeczne mas ludowych, oraz na obóz widzący całe zło w naruszeniu prawa międzynarodowego, traktatu wiedeńskiego, przez Rosję.

OBRAZ POLSKI

Krytyka błędów przeszłości w obozie demokratycznym doprowadziła go do jedynie słusznego wniosku, że tylko powstanie narodowe połączone z rewolucją społeczną wywalczy przyszłą Polskę. Linia podziału na skrzydło demokratyczne i reakcyjne pokrywała się z podziałem na zwolenników walki zbrojnej narodu polskiego oraz na zwolenników dyplomatycznej interwencji o zachowanie w Polsce status quo z 1815 r., — jak również z terytorialnym obrazem przyszłej Polski. Obóz demokratyczny gotował się do walki o **całą** Polskę, a więc przeciw wszystkim zaborom, z „zaborem wiedeńskim“ łącznie, obóz arystokratyczny kierował swe wysiłki jedynie ku odzyskaniu Polski Kongresowej.

Towarzystwo Demokratyczne Polskie, organizator 1846 roku, w swym „Akcie założenia“ z 17 marca 1832 roku pragnęło widzieć w Polsce „miliony szczęśliwych, wolnych, dobrodziejstw natury używających mieszkańców, bez różnicy nazwisk, rodu lub wyznań, a nie garstkę uprzywilejowanych, ...użytkujących wyłącznie nie tylko ze wspólnej dla wszystkich ziemi i jej owoców, ale nawet z osób, pracy i trudów...“ Ten komunistyczny ton wypowiedzi odrzucony został w dyskusji politycznej, która toczyła się pomiędzy poszczególnymi sekcjami Towarzystwa Demokratycznego i ustąpił miejsca w „Manifeście“ (1836 r.) ogłoszeniu, iż celem TD jest „usamowolnienie ludu, oddanie wydartej mu ziemi na własność, wrócenie praw, powołanie do używania korzyści niepodległego bytu wszystkich, bez różnicy wyznań i rodów“.

To sformułowanie społecznych celów utrzymało się jako hasło przygotowywanego powstania, mimo ostrej krytyki lewicy emigracyjnej, a zwłaszcza Gromad Ludu Polskiego Grudziąż i Humań w Anglii. W swoim uroczystym proteście stwierdzają ci chłopi-żołnierze, że „aby ustalić równość, znieść nędzę i pojedynczych tyranów chęci zbezsilić, należy dążyć do tego, by ludzie nie dzielili się na obóz mający własność i na obóz bez ziemi“. Gromadzianie wychodzili z założenia, że nadanie chłopom ziemi, uprawianej przez nich, na własność nie tylko sprzeczne jest z ewangelią, ale pokrzywdzi proletariat wiejski, służbę dworską, wyrobników. Dla nich zniesienie własności ziemi było równoznaczne ze zniesieniem własności obszarniczej, szlacheckiej, gdyż innej nie znali i nie mieli. Stanowisko ich nie było samotne.

REWOLUCJA DEMOKRATYCZNA CZY SOCJALISTYCZNA?

Pomiędzy „komunistycznym“ a demokratycznym obozem dochodzi do walki ideologicznej. Worcell, ideowy przywódca Gromad, pisze zasadniczą rozprawę „O własności“, uznając przeobrażającą się własność za czynnik rozwoju ludzkości. Własność — według niego — przekształca się z osobistej w społeczną, dzisiejszy jej charakter zasadza się na dziedziczeniu i używaniu owoców cudzej pracy. Rozprawa Worcella przyjęta przez Gromady za credo polityczne, teoria Lelewela o pierwotnej komunistycznej gminie słowiańskiej i wykłady Mickiewicza w Collège de France na ten sam temat spotykają się z nowym ośrodkiem polskiej myśli komunistycznej, oczywiście utopijnego komunizmu chrześcijańskiego reprezentowanego przez „Polskę Chrystusową“ Ludwika Królikowskiego, który w imię nauki chrześcijańskiej głosił zniesienie własności i sprzeciwiał się ostro nadawaniu ziemi chłopom na własność. „Polska z własnością osobniczą nie zaspokaja prawych synów ojczyzny... Pragną oni Polski oswobodzonej od wszelkiego panowania człowieka nad człowiekiem“. Królikowski tak jak i Lud Polski wysuwa prócz argumentów etyczno-politycznych również argumenty gospodarcze przeciw zamierzonej reformie społecznej.

Platforma tych ugrupowań nie mogła być przyjęta za podstawę zjednoczenia demokratycznej emigracji, toteż po rozpadnięciu się Ludu Polskiego na dawne Gromady i „Wyznawców obowiązków społecznych“, ci drudzy przystąpili do centrowych elementów wychodźczych, do „Zjednoczenia“. Akt (niedoszłego zresztą) zjednoczenia tułactwa polskiego poparł stanowisko Towarzystwa Demokratycznego głosząc, iż „wymaga usamowolnienia włościan, bezwarunkowego nadania im ziemskiej własności, zapewnienia wolności wyznań... oraz zaprowadzenia powszechnego narodowego wychowania“.

Stanowisko pośrednie w tej dyskusji polityczno-społecznej zajmowała „Młoda Polska“, wychodząca z tradycyj wolnomularskich, głosząca hasła republikańskie, występująca przeciw wszelkim formom tyranii.

Manifest krakowski z 1846 roku pojednał dopiero oba obozy polityczne demokracji, umiarkowany i lewicowy, zapowiadając, że **„będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi, wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca; w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, żony i dzieci swoich, w którym upośledzony od przyrodzenia na ciele lub duszy znajdzie bez upokorzenia nieochybną pomoc całego społeczeństwa, w którym ziemia, dzisiaj warunkowo tylko przez włościan posiadana, stanie się ich bezwarunkową własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości, bez żadnego wynagrodzenia“.**

Manifest krakowski był platformą połączeniową emigracji polskiej, uznały go i rozwiązujące się Gromady i Towarzystwo Demokratyczne, nie protestowała czartoryszczyzna.

Zanim jednak do tego doszło, minęło wiele lat walki politycznej w kraju, toczonej przez wszystkie organizacje konspiracyjne we wszystkich zaborach.

KONSPIRACJA

Schemat organizacji krajowych niezrozumiały będzie dla człowieka, który nie poznał warunków życia konspiracyjnego, dlatego też przedstawię tylko jego zarys, nie omawiając głębiej rozwoju politycznego i organizacyjnego poszczególnych stowarzyszeń. Wychodziły one z dwóch nurtów: z wolnomularstwa i Towarzystwa Demokratycznego, nie licząc luźnych związków inicjowanych przez artystokratyczny obóz emigracyjny.

Krakowski związek **„Przyjaciół Ludu“** i **„Węglarstwo Polskie“** zjawiły się pierwsze na terenie Krakowa i Galicji jako ugrupowania spiskowe, węglarskie, opierające swą strukturę i ideologię na wzorach przedpowstaniowych i emigracyjnych. Węglarstwo, dbające o ścisłą konspirację, rządziło tak zwanymi związkami niższymi, stojącymi na niższym szczeblu organizacyjnym i politycznym. Takim związkiem był np. lwowski **„Związek Wzajemnej Pomocy“**, dzielący się na poręby i podporządkowany Naczelnej Dykasterii. Kiedy wpływy Młodej Polski zaczęły brać górę nad wolnomularskimi ugrupowaniami, z obu grup powstała silna, dobrze rozgałęziona organizacja krajowa pod nazwą **„Stowarzyszenie Ludu Polskiego“**, opierająca się na zrębach młodopolskich statutów i ideologii, podzielona na ziemstwa, obwody i gminy ze zborem głównym na czele. S. L. P. owładnęło organizacją lwowską i rozgałęziło się na prawie cały kraj. Konarski dotarł na Litwę, Podole i Wołyń, Ehrenberg i Wężyk założyli oddział warszawski **„Świętokrzyżców“**. Kiedy policja zlikwidowała Stowarzyszenie Ludu Polskiego, pierwszą ogólnopolską organizację i wyaresztowała „Świętokrzyżców“, na gruzach tych organizacji powstała **„Konfederacja Powszechna Narodu Polskiego“**, oparta o trzon S. L. P., posiadająca charakter wojskowy, powstańczo-demokratyczny. Po rozbiciu jej, resztki tworzą **„Chrobację“** na ziemi krakowskiej, podczas gdy w Galicji rozbitki ze Stowarzyszenia Ludu Polskiego organizują wedle starego schematu **„Młodą Sarmację“** wraz ze związkiem niższego stopnia **„Synowie Ojczyzny“**, to zaś ugrupowanie konspiracyjne nawiązało dalsze kontakty z luźnymi organizacjami galicyjskimi. Tak więc „Młoda Sarmacja“ miała wpływ na „Związek Wolnych Haliczan“, „Kosynierów“ i rozwijając młodopolskie formy spisku przekształciła się następnie na **„Sprzysiężenie Demokratów Polskich“**. Formy te kończą okres konspiracji młodopolskiej, drugi po węglarskim.

W trzecim okresie Towarzystwo Demokratyczne bierze zdecydowanie górę nad wszystkimi istniejącymi organizacjami ówczesnej Polski podziemnej, podporządkowując je sobie i tworząc nowe, z zamiarem scentralizowania ich we wspólnym naczelnym komitecie, który by podlegał Centralizacji francuskiej T. D. P.

W W. Ks. Poznańskim, w Krakowie, Galicji, Królestwie powstają organizacje demokratyczne natrafiając zresztą na zaciekłą opozycję zdecydowanie lewicowych ugrupowań, jak **„Związku Plebejuszy“** w Polsce północnej i Prusach oraz **„Związku Narodu Polskiego“** w Polsce Kongresowej.

POLITYCZNE OBLICZE LEWICY KRAJOWEJ

„Związek Narodu Polskiego“ (1839) powstał na gruzach „Świętokrzyżców“. Jego legalną niejako formą działania była grupa literacko-artystyczna entuzjastów, kierownikami ideowymi byli **Henryk Kamieński** i **Edward Dembowski.** W stosunku do władz emigracyjnych zachowywał związek stosunek wręcz wrogi, zaprzeczając Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego prawa mieszania się w sprawy kraju i powstania. Skład społeczny ZNP charakteryzował się znacznym udziałem mieszczaństwa i inteligencji. On to kierował pracami politycznymi spisku ks. Ściegiennego. ZNP dążył do szybkiego wybuchu powstania we wszystkich zaborach Polski, do prowadzenia walki partyzanckiej i zaprowadzenia przemian społecznych o wiele bardziej radykalnych niż program Towarzystwa Demokratycznego.

Wielkopolski „Związek Plebejuszy“ Stefańskiego stał na takim samym stanowisku co Związek Kamieńskiego, zarówno co do samodzielności akcji powstańczej, jak i co do rewolucyjnego jej charakteru.

Teza Kamieńskiego: Od czasów rewolucji francuskiej powszechnym dążeniem świata jest jego demokratyzacja, jedność narodowa oparta na równości obywatelskiej. Dla Polski dążność ta ma zasadnicze znaczenie. Wolność jej może wywalczyć jedynie pospolite ruszenie wszystkich klas. Klasy upośledzone nie mają poczucia obywatelskiego. Aby je mieć, muszą być rzeczywistymi obywatelami, co oznacza rewolucję społeczną obalającą ustrój przywilejów szlacheckich.

Na skutek doświadczeń niewoli szlachta, przejęta duchem jedności narodowej, poniesie dla niej ofiarę ze swych majątków. Tak więc możliwa będzie bezkrwawa rewolucja.

Treścią układów społecznych rozwijających się społeczeństw jest wedle Kamieńskiego przeobrażająca się własność, a więc teza Worcella i lewicy emigracyjnej. Rozwój ten doprowadzi do ustroju socjalistycznego, opartego na powszechnym prawie do pracy i wzajemności usług pomiędzy ludźmi. Ustrój ten będzie przejściowym, po którym nastąpi ustrój komunistyczny, polegający na wspólnej własności ziemi i rozdawnictwie jej owoców stosownie do potrzeb ludzkich.

„Powstanie naszego narodu i rewolucja społeczna są dwie rzeczy nierozdzielne“ — pisze Kamieński w „O prawdach żywotnych narodu polskiego“, które wraz z jego „Katechizmem demokratycznym“ stają się rychło ewangelią ruchu spiskowego w Polsce.

Dembowski doszedł za swym mistrzem Kamieńskim do tych samych wniosków. Historia — powiada on — to nieustanny rozwój, w którym niższe ustroje społeczne ustępują wyższym, gdy większość społeczeństwa uzna istniejący stan za niesprawiedliwy. „Rozwój historyczny dąży do socjalizmu, który... musi stać się rzeczywistością“. „Wolność tam być tylko może, gdzie nie ma własności“.

Stefański głosił podobne tezy. „Naród powstający musi mieć na zawołanie wszystkie siły i zasoby krajowe. W walce rewolucyjnej własność ustaje prawie sama przez się. Najprostszą więc rzeczą jest, aby z momentem powstania ogłosić manifestem, iż w czasie walki o niepodległość zawiesza się osobistą własność, a rząd... staje się jedynym szafarzem wszystkich zasobów narodu...“

Czy cały obóz demokratyczny był zdecydowany istotnie na prowadzenie walki *rewolucyjnej*? Teoretycznie tak. Już manifest Towarzystwa Demokratycznego głosił: „przelana krew bratnia spadnie na głowy tych, co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne dobro i wyjarzmienie ojczyzny przenoszą“. Kamieński dodaje: „gdyby nie mogła się odbyć rewolucja w powszechnej całego narodu jedności, ale walką wewnętrzną i rozlewem krwi naznaczyć się musiała, niechaj natenczas jakimkolwiek kosztem nastąpi, byle się stała“. „Co myśleć o szlachcie, która by przeciwna była rewolucji społecznej i nadaniu własności ludowi? Jedno z dwojga, albo nie pojmuje zbawienia ojczyzny, albo nie chce. W obu wypadkach, czy to nieświadomość czy zła wola, równie są szkodliwe i ścigane być muszą a do milczenia i niemożności szkodzenia jakim bądź kosztem przywiedzione“. „Rewolucja społeczna może się udać wbrew i pomimo szlachty. W takim razie niestety — musiałaby się krwią szlachecką zmazać i po niej stąpałby lud, spiesząc do walki o niepodległość“.

Edward Dembowski zapowiada również w razie oporu szlachty krwawą rewolucję: „Gdyby klasy wyższe nie chciały się pobratać z ludem i miały stawać się zaporami rewolucji społecznej, bez której nie może być powstania skutecznego,. rewolucja czerwoną chorągiew rozwinąć będzie musiała — przeciwko szlachcie“.

POWSTANIE

Teoria rewolucyjna Kamieńskiego, Stefańskiego i Dembowskiego w zetknięciu się z terenem uległa modyfikacji na korzyść ideologii Towarzystwa Demokratycznego. Lewica spiskowa uznała za potrzebne — dla dobra powstania — wystąpić z hasłem „ziemia dla chłopów“, jako tezą dla mas chłopskich zrozumiałą, nie rezygnując bynajmniej z realizacji następnego etapu historii. Lewicę powstańczą od Towarzystwa Demokratycznego różniło wiele, a przede wszystkim:

1. Stosunek do reform społecznych,
2. Stosunek organizacyj krajowych do władz emigracyjnych,
3. Teoria powstania narodowego.

Ta trzecia różnica była najtrudniejsza do przezwyciężenia. Towarzystwo Demokratyczne odkładało powstanie na czas późniejszy, ograniczając się do wstępnego okresu agitacji politycznej wśród szlachty. Lewica zmierzała do natychmiastowego wywołania rewolucyjnego powstania. Towarzystwo Demokratyczne liczyło na regularną walkę armii powstańczej — lewica chciała partyzantki. Towarzystwo Demokratyczne budowało organizacje kadrowe, Związek Narodu Polskiego i Związek Plebejuszy przyjmował do organizacji masowo ówczesny plebs, robotników, chłopów, rzemieślników i młodzież. Towarzystwo Demokratyczne wykrystalizowało w sobie ośrodek kierowniczy, pragnący powstania przeciw Rosji, liczący na pobłażliwą postawę Prus. Lewica chciała powstania we wszystkich zaborach, przeciw wszystkim zaborcom. Towarzystwo Demokratyczne liczyło do ostatka na bezkrwawą rewolucję, na patriotyzm szlachty, lewica — gotowa była do wojny domowej.

Nie jest moim zadaniem konfrontowanie politycznego oblicza ruchu powstańczego z sytuacją w kraju. W tym szkicu pragnę podkreślić jedynie polityczną stronę przedrewolucyjnej Polski Podziemnej i zwrócić uwagę na drogę rozwojową, jaką samodzielnie przebyła demokracja polska na przestrzeni stu lat przeszło. Oczywiście ówcześni myśliciele byli pod silnym wpływem europejskiej myśli politycznej, obóz demokratyczny był pod urokiem zarówno Lafayette'a, Cavaignaca, Raspaila i St. Simona, jak i Fouriera, Bucheza, Lerouxa, Babeufa, Blanca i Lamennais, Owena, Mazziniego, Proudhona i Hegla; obóz arystokratyczny kierował się po części koncepcjami Montalemberta, Ballanche i Tocqueville.

Rok 1846 po raz pierwszy jednak wypracował samodzielny system polityczny powstania polskiego, po raz pierwszy świadomie łącząc walkę o niepodległość z walką o wyzwolenie społeczne. System ten, oryginalne dzieło polskiej myśli społecznej, pozostał trwałym dorobkiem politycznym, powiększonym o okrutne doświadczenie rewolucji i rabacji, potwierdzające tylko postulatu tego słuszność, postulatu, który stał się pierwszym prawidłem uzyskania niepodległości na następne lat sto. Trwała nauka tych lat okrzepła w system marksistowski.

Tadeusz Hołuj

FRANCISZEK GIL

Żniwo wielkiej reformy

Nowy los chłopskiego dziecka*)

Tyczyńskie Orkanowe gimnazjum Samopomocy Chłopskiej powstaje z myśli chłopa parcelanta Żmudy, który nie mógł patrzeć, jak niszczeje pałac, jak zemsta tratuje i dusi „taki zabytek, z którego coś mogło być". Twórcą tej myśli mogła być tylko reforma rolna — podział gruntów i oddanie chłopom pałacu. „Zacięty ludowiec" podał projekt na zebraniu Gminnej Rady Narodowej, objechał ze swoją ideą wsie. A potem zwołano zebranie chłopskie w pałacu. Było to któreś tam z rzędu zebranie po tych burzliwych posiedzeniach nad podziałem ziemi, których zapowiedzi wiatry darły już na kuźniach. Tylko że teraz zastanowiono się nad podziałem otwartej drogi do oświaty. Znów przemawiał Żmuda. I jednymi tylko słowami mógł rozpocząć i zakończyć swoją mowę ten chłop: „dlaczegożby miasto! a wieś to nie należy do kultury?!"

Tyczyńskie gimnazjum buduje się na ideowych i organizacyjnych zrębach Samopomocy Chłopskiej, **społecznego spadkobiercy pańskiego pałacu.** Powstaje jako druga w dramatycznej historii tych chłopów darmowa robocizna we dworze: dwieście dwadzieścia osiem fur kału, śmieci, gnoju i świństwa, tynkować, bielić, malować, reperować drzwi, okna, podłogi, kominy, zamki, sporządzać stoły i tablice dla dzieci, urządzić mieszkania dla nauczycieli, zabezpieczyć im pierwsze bytowanie. Po raz drugi w dziejach brzegiem tego dworu jechały chłopskie wozy, wozy ładowane cegłą i drzewem: stąd Gryfici Braniccy brali ludzi i stąd wieźli budulec dla podlaskiego Wersalu. Nie było żadnych zarządzeń ani okólników. Było zebranie i przemówienie Żmudy, ukazujące myśl, że jeszcze ten pałac można wiekuiście dzielić między synów chłopskich. Drugą duszą komitetu organizacyjnego był katecheta Trojnar, który wyszedł z łańcuckiej rodziny ludowców i wójt gminy zbiorowej był też „zaciętym ludowcem". Chciano Żmudzie uchwalić wynagrodzenie. Był to przecież czas żniw, kiedy wszystko co żywe wychodzi w pole do roboty, kiedy jeden dzień w zbiorze może zadecydować o całym roku. Czterdzieści dwa dni bezinteresownej pracy poświęcił chłop, żeby gimnazjum mogło rozpocząć pracę czwartego września. Była to jakaś symboliczna cyfra. Niósł ją z sobą jak rubryki zgiętego wpół arkusza sprawozdawczego, który ósmego września rozłożył na pewno na audiencji u „pana ministra". Nie umiał dopisywać cyfr i wydaje mi się, że te czterdzieści dwa w żniwa zaczęte dni stanowiły dla niego odrębną, zamkniętą pozycję. Tytułowano go tu „prezesie" — „prezesie" przy przebudowie pieców, wyjeździe do kuratorium po wizytatora i „prezesie" przy zwózce drzewa na opał. Spinał tu wszystko jak klamra, którą wieś **mocno czepiła się kultury.** Pierwszy rok szkolny zaczął się we wrześniu. Dyrektor zwrócił mi delikatnie uwagę — tu przy początku: żebym nie myślał, że gimnazjum „chłopskie" to jest takie, w którym poziom jest automatycznie niski, jakiś „ułatwiony" — dla chłopów. Celowo nie stworzył czwartej klasy, choć miał uprawnionych kandydatów. Nie chciał po jednym roku nauki, a sześciu okupacji, wypuszczać ucznia nie sprawdzonego rzetelnie i „nieprzetartego" w świat. Normalny program gimnazjalny jest tu programem nauczania; wymagania te same. Nauczyciele w większości już przed wojną pracowali w swoim zawodzie. I przeważnie chłopscy synowie z okolicy. Borowiec, pierwszy naukowy organizator zakładu, — w kieleckim. Kozdraś nie mógł dostać posady nauczycielskiej i tuż przed wojną kończył kurs spawania w Warszawie. Z językami — dlaczego francuski — chcieliśmy uczyć angielskiego, ale nauczyciel postawił za wysokie warunki. Mieliśmy pod ręką nauczyciela francuskiego, który wziął to, co możemy dać. Scenę chcemy urządzić. „Wesele" wystawią. Mam klasy kombinowane. Po handlówce, po kursach. Jak nie dadzą sobie rady, to posiedzą jeszcze, ale wielu nadrabia i to dobrze. Dziewczęta pilniej jakoś się sprawują...

Dwie minuty wyznaczono delegacji komitetu oświatowego na audiencję. Wywieźli dwieście dwadzieścia osiem fur gruzu, świństwa, w żniwa odrobili darmo sto pięćdziesiąt trzy tysiące złotych, złożyli osiemdziesiąt dwa tysiące w gotówce, ufundowali chłopskie stypendia dla chłopskich dzieci. Tyle mieli do opowiedzenia! Kredyty szkolnictwa średniego były wyczerpane. Dano z „ogólnych" dwieście tysięcy złotych subwencji na remont. Przyrzeczono dalsze trzysta. „Pan minister" sam podał krzesła. W głosie Żmudy brzmiała jeszcze ciągle radość, duma chłopskiej delegacji — i z tych krzeseł i z tego, że sekretariat dał tylko dwie minuty, a wyszło dwadzieścia. Wyszło **dwadzieścia!**

Na otwarciu przemawiał kurator, wojewoda i starosta — „owszem, urządziliśmy niewielkie przyjęcie". Nie wiem dlaczego przy tym wydźwięku gościnnym kogoś, kto ukończył już dom i razem z wiechą urządził pierwsze „owszem niewielkie przyjęcie", zapytałem, czy przychodzą do gimnazjum uczniowie boso. Może dlatego, że na wsi połowa wysiłku oświatowego rozbijała się zawsze o buty. W zimie dziecko nie miało butów, w lecie pasło krowy. Zapanowała nieznaczna konsternacja. Żmuda był już we frazie o panu kuratorze — „i pan kurator proroczo powiedział...", ale zawrócił. I dyrektor i tercjan: „Nie ma takiego wypadku. Ubierają się bardzo porządnie, w co mają najlepszego. Zdarzy się czasem..., ale najwyżej dziecko przyniesie buty w rękach i tam gdzieś w kącie pod drzewami obuje przed wejściem do szkoły. Pan wie, jak to na wsi. Pod kościół boso i tu się dopiero obuwa".

Żmuda wracał już do swoich „pięćdziesiąt lat temu". Buty obuwane pod kościołem i buty obuwane pod gimnazjum poplątały mi frazę. Nie zapamiętałem, do czego odnosi się pierwsze „pan kurator powiedział" i drugie „jak pięćdziesiąt lat temu, jako młody student, z tego samego miejsca, proroczo powiedział". Żmuda wręczył klucze kuratorowi z prośbą o opiekę nad młodzieżą, a ten dyrektorowi Waligórze. Wydział odbudowy zażądał dokładnych planów i nie wykorzystano wszystkich kredytów. Zima zastała ich w połowie subwencji i remontu, zmroziła glinę i ręce. W ciężkie zawieje chłopi marzli i ciągnęli z lasu drzewo na opał. Pół metraka zostawili po drodze we wsi. „Mój syn tu uczniem w gimnazjum" — było jedynym wyjaśnieniem darmowej robocizny. „Sołtys wyznacza przeważnie tych, co mają dzieci tutaj". Drugi raz w dziejach robił chłop darmo w tym dworze. Wypełnienia tamtej, pierwszej darmowej robocizny dla kasztelanów Wapowskich i Gryfitów Branickich, Radziwiłłów i Uznańskich strzegły niezliczone ustawy ścigające zbiegłych z poddaństwa. Ustawy te były najpracowitszym rysem szlacheckiej myśli prawodawczej, przewodnią cechą prawodawczych idei szlacheckich sejmików. Do drugiej darmowej robocizny w tym samym dworze chłop stanął, bez przymusu i bez wynagrodzenia, dnia dwudziestego szóstego lipca, w pierwsze żniwo po reformie rolnej, która oddała mu ten pałac. Nie był jeszcze pewien, co z tego będzie, nie mógł natychmiast otrzymać wartości zwrotnych, które daje nadzielony morg pola. Stanął przed jakąś większą szansą życiową, przed innym kształtem reformy rolnej, kształtem powszechnego oświatowego nadziału, którego być może nawet nie oczekiwał i dlatego tak niespodziewanie nim się zachwycił.

W pierwszy dzień po świętach sale były zimne, nieopalone, dyrektor nie chciał pozwolić rąbać drzew w parku. Czekał na drzewo z lasu i znów wołano „prezesa". Kombinowane klasy zaczęły naukę wcześniej. Dzieci marzły tego dnia i dyrektor pogadanką o tym, co czytały w czasie świąt, zakończył naukę. Dzięki tej nauce miały w pojęciach wsi i rodziców „wyjść na panów". Szły do „pańskiego dworu po naukę, żeby stać się „panami".

Nie było to istotne. Największą rewelacją dla mnie była niecierpliwość, z jaką ludzie mojej rodzinnej wsi czekali na elektryfikację: w miarę podnoszenia się społeczno-gospodarczego poziomu wsi, w miarę związanego ze wzrostem dobrobytu zacierania się różnic między wsią i miastem, między formami bytowania chłopów, inteligencji i robotników, myśl o wyjściu na „pana" będzie obumierać, zanikać przy równoczesnym pogłębianiu się procesu kulturalnego.

Intabulować to gimnazjum niewątpliwie można i nawet należy dać państwową gwarancję twórczemu wysiłkowi chłopa, który stworzył wszystkie podstawy materialne dla nauki swoich dzieci i niemal gotowy zakład oddał na społeczną służbę oświatową, który prosił o subwencję na internat w chwili, kiedy zakład był już w ruchu, kiedy dzieci rysowały już mozolnie Afryki, ale z nawyku dziadów, pradziadów, ciągle jeszcze kłaniały się „panom", nazywającym Afrykę portem.

Ale intabulować jedynie razem z ogromnym żywiołem, który sprawił, że czwartego września dzieci tych samych rodziców, którzy grabili i niszczyli nienawistny, pański dwór, którzy zabrali stąd kilimy, stylowe krzesła, rzeźbione szafy, biurka i komody, którzy nieraz siekierą torowali tym meblom drogę do własnej chałupy, dzieci tych rodziców poniosły do dworu krzesła i stoliki. Że ci sami rodzice dawali pieniądze i robociznę na odbudowę, na remont pałacu. Że ręce, które wyrywały futryny, pomagały już stolarzowi heblować drzewo na nowe. A dzieci poczynały malować Afryki.

Poprawiono mnie tam, w rzeszowskim, w rozmowie, że nie akurat „ci sami" rodzice i nie akurat dzieci „tych samych" rodziców. Lecz któż mógł myśleć, że akurat „ci sami" rodzice, „akurat" dzieci tych samych rodziców!

DWIE MINUTY DLA REWOLUCJI

Chłopce chodziło tylko o jej syna. „My by go bez jego wole, panie Franiu, nigdy nie przymuszali. On som chcioł. Franiu wi, jak u nos. Jak ten najstarszy pomar, tak nimo kim robić. Ale teraz, jak chcioł, to my mu wolnice dali. Chłopoka my wzieni. Tyż my go do żodnej roboty nie bierzemy. Nic nie robi, ino tym się zajmuje".

Kiedy zaszedłem do tej chałupy, nie wiedziałem, że syn jej uczy się w gimnazjum. Wyszło to przypadkiem, jak pytanie — „będzie ta co z tego, panie Franiu?" Nie było ono trudne. Ale jak można było wytłumaczyć chłopce, że pyta o rzecz tak ogromną, o miliony chłopskich synów! Zaczynała się tu niewątpliwie wielka rewolucja kulturalna, rewolucja bez globusów i elementarzy. Zaczynała się wpierw zduszeniem pałacu, a potem wywiezieniem zeń gnoju, setkami dni i tysiącami złotych darmowej robocizny, zniesieniem krzeseł przez dzieci i zbiciem stołów przez ojców. Zaczynała się tylko polską książką „Mówią wieki" i książką do francuskiego; historię, geografię, fizykę — nauczyciel dyktował, na drugi dzień pięć minut pytał; — „wszystko piszemy i znowu pięć minut pyta i znowu dyktuje" — opowiadał syn chłopki. Była dalszym ciągiem rozwalania dworu, rozwalania starego układu życia wsiowego, starych przepustów społeczno-kulturalnych. Razem z podziałem nienaruszalnej nigdy ziemi pańskiej pękły dowojenne śluzy społeczne. Oświatowo-kulturalny nurt reformy rolnej wylał szeroko i daleko było tu do uregulowania jego łożyska. Blisko trzydzieści szkół średnich było już w powiecie. Gdzieś tam u brzegów tej rewolucji stał pan kurator. „Dużo, bardzo pomaga..." — przypominali tutejsi ludzie. Na poczcie sortowano zwroty przeróżnych pisemek i gazetek, a chłopi szturmowali księgarnię o elementarz, przyrodę, polskie. Pytali: — skoro nie ma, — może będą, — kiedy przyjdą? Nachylony księgarz (panie: ...i to tak setkami dziennie, ja nie wiem, czy to tak dobrze: ...w Błażowej gimnazjum, w Tyczynie gimnazjum, w Strzyżowie gimnazjum, w Sokołowie gimnazjum, — już ma pan siedemnaście) prostował się wyniośle za ladą i spokojnie odprawiał ojców gimnazjalistów: nie ma, nie wiem, państwo drukuje, tajemnica państwowa. Gdzieś tam u brzegów tej burzliwej rewolucji stał pan kurator i pan minister. Jacyś urzędnicy chcieli ją obejrzeć i załatwić w dwóch minutach audiencji.

U gościńców wiejskich zostały bezradnie stare dobre znajome — powszechne szkoły: tam tylko nic się nie zmieniało, wszystko, i nauka i budynek i klasy, było po staremu, niemal jak wówczas, kiedy nauczyciele ludowi w użyczonym obok „państwa" kąciku ustawiali się do fotografii pod pałacem. Wezbrana odnoga reformy rolnej mijała je, szła niepowstrzymanie dalej, nie bacząc, skąd jutro będzie czerpać swe wody. Nikt się o to nie troszczył: i kto wie, czy trzeba o to winić ludzi i dzieci miejscowe: gimnazjum we dworze było zbyt błyskotliwą kartą tutejszych dziejów. Stało się w dziewiętnastu wsiach radością i szansą „wielkiego świata" dla tylu dzieci, dla ilu dawniej jedno z dwóch w całym powiecie. Centra oświatowe, przewody wysokiego napięcia kultury przesunęły się w głąb pod „wólki", „mokre strony", „zalesia", „lisie kąty", „czerwonki" i „tarabuki". Wielką perspektywą możliwości, które daje wiedza, sięgnęły we wsie dalekie od szos, drutów telegraficznych i torów kolejowych. Ale na pytanie — jak szeroko rozlane wody twórczego prądu ująć w pogłębione, zwarte łożysko oświatowe, jak włączyć je w przyszłość narodu — góra miała tu w powiecie tylko subwencje, a na dole uroczysty ton powszechnego, samorodnego wysiłku nie dozwalał na przyznanie się, że pod stołem schowano jednak jakieś karty. Przez półtora miesiąca trudno było dopytać się w gimnazjum, jakie kręgi wsi objęła szkoła. Ale w tym samym czasie w okolicznych wsiach nie trudno było ustalić, że prócz paru dzieci uratowanych przez „wyapelowane" stypendia Żmudy i prócz parunastu takich, których ojcowie odrabiali czesne w trwającym jeszcze, na ich szczęście, remoncie, kształcili się tam synowie kmieci, córki co najwyżej średniozamożnych chłopów. I nie trudno było ujrzeć, że gdyby nie resztówka Samopomocy Chłopskiej i nie subwencja państwa — koszt budowy i pedagogicznego utrzymania nowego zakładu od podstaw mogliby ponieść w tej okolicy małorolnych chłopów — sami najbogatsi. Gimnazjum stworzyło znów w samej wsi podział na tych, co zostają w szkole powszechnej, w swoim „małym świecie" — w drodze ku ostatniej siódmej klasie i tych, co po szóstej z tej „małej drogi" schodzą, by wstąpić na wspanialszą, gimnazjalną, do pałacu utrzymywanego przez bogatszych ojców jako szkoła przyszłości ich synów. Gimnazjum we dworze niewątpliwie przesuwało się w głąb wsi, ku szerszym kręgom, ale znów odsuwało **podstawowy dla demokratyzacji kultury postulat całkowitego wyłączenia selekcji majątkowej.** Gdy w ośmioklasowej szkole jednolitej można bezpłatnie udostępnić ten sam szczebel i start oświatowy wszystkim bez wyjątku dzieciom wiejskim. Gdy można i trzeba przerzucić całe ideowe i materialne napięcie wysiłku oświatowego tych chłopów, państwowe subwencje i pałacową resztówkę Samopomocy Chłopskiej na budowę i organizację ośmioletniej szkoły, która dałaby tę samą oświatę, ten sam poziom i ten sam wstęp do liceum wszystkim bez wyjątku dzieciom chłopskim — i tym, które dzisiaj kształcą się w tamtym gimnazjum i tym, które musiały zostać w swoim „małym świecie" jedynie bezpłatnych dla nich szkół powszechnych.

Wszak już dziś, nawet w swej gimnazjalnej, niepogłębionej w ośmioletnią, jednolitą powszechność formie, rewolucja działa twórczo. Drogi skróciły się, ojcom odpadł koszt posyłania dziecka do poprzedzającej gimnazjum szkoły miasteczka i koszt utrzymania syna „w powiecie". Dzień w dzień po nauce dziecko wraca do domu. Kształcąc się, znosząc i wertując książki, przechodząc do coraz wyższych dziedzin wiedzy, nadal codziennie obcuje ze swoimi braćmi, siostrami, rodzicami, kolegami, którzy nie biorą udziału w procesie kształcenia. Przez cztery lata będzie tak dzień w dzień zostawiać maleńki okruch z tego, co zdobyło w szkole — w chłopskiej chałupie bez podłóg i bez książek, w sąsiednich chłopskich umysłach. Będzie zaciekawiać i intrygować, bodaj przypadkowo otwierać nowe światy. Dwór po raz pierwszy w dziejach narodu będzie naprawdę **promieniować kulturą w narodzie.** Ten wtórny wpływ gimnazjum na domy jego uczniów i ich sąsiedztwa, na niekształcące się już w szkołach otoczenie jest najkapitalniejszą perspektywą przemiany, zapoczątkowanej 26 lipca przez twórców tyczyńskiego gimnazjum. Stwarza ona olbrzymie możliwości codziennego przenikania prądów oświatowych w dalekie zakątki społeczne, możliwości żywej, codziennej wymiany kulturalnej między szerokimi masami i centrami kulturalno-oświatowymi. Więc niespotykane szanse kulturalnego unerwienia mas.

Wyzwolone przez rewolucję rolną, dziś szeroko rozlane, zmarnotrawione w połowie siły i możliwości chłopskie czekają służby na rzecz pogłębionego planu drogi do kultury. Reforma rolna szuka tu dróg ku swej dojrzałości, dróg pełnego rozwoju i urzeczywistnienia także w kulturze. Zewnętrzne, rudymentarne formy tego procesu otaczały mnie spontanicznie. Gimnazjum było powszechną, w świadomości wszystkich zaksięgowaną pozycją przeżycia i wysiłku. Niedługo już setki chłopów staną przed problemem, jak dalej kształcić syna, synowie, jaką wypadkową obrać między zainteresowaniami i ekonomiczną szansą danego dyplomu. A z zakończeniem prac nad odbudową pałacu, z ustaleniem się płynnej jeszcze ekonomicznej podstawy szkoły i przepuszczaniem coraz większej ilości uczniów, kulturowe i wychowawcze treści zakładu wyprą nieuchronnie z przeżycia chłopskiego tamte rudymentarne objawy pierwszej świadomości podworskiej, sięgające zresztą swoją genealogią w samą głąb dotychczasowych dziejów wsi.

Żywiołowe rozrastanie się tej świadomości już w teraźniejszych, pierwotnych jeszcze formach, rzucało daleki projekcyjny snop światła w kulturalne możliwości wpływu ośmioletniej szkoły już dla wszystkich dzieci i dla wszystkich wsi.

Czy można powstrzymać proces krystalizacji rewolucji rolnej w kulturze? Czy można budzenie się i dojrzewanie świadomości społeczno-kulturalnej ograniczyć do jednego, kmiecego kręgu wsi, a odciąć odeń wielkie masy chłopskie? Są to złudzenia miejskich chłopomanów zeszłowiecza, złudzenia równie śmieszne, jak wszelkie próby myśli, że można by kiedykolwiek wypędzić trzysta pięćdziesiąt chłopskich uczących się dzieci z pałacu

*) Por. „Chłopskie gimnazjum w hrabskim pałacu" w nr. 64 „Odrodzenia".

i wprowadzić tam z powrotem hrabiego. Jedne i drugie równają się przypuszczeniom, że można zaprzestać używania elektryczności, jodyny i radia, że można jednej warstwie ludności zakazać budować domy z oknami.

NAD GROBEM MITU „CHŁOPSKIEGO DZIECKA"

Z końcem trzeciego dziesięciolecia z „dziewiętnastu wsi do Tyczyna należących" odeszło ze mną ostatnie pokolenie do szkół. Potem głucha cisza zaległa wsie — nikt już nie kształcił się w hrabstwie tyczyńskim. To, że przed samą wojną zaczął studiować we Lwowie syn zamożnych reemigrantów z Ameryki, a bogaty wróż słociński pomógł ubogiemu prawnikowi ukończyć w Warszawie studia w zamian wydając zań swoją córkę, nie różniło się wiele w swych społecznych dla wsi skutkach od faktu, że nauczyciele zadając sobie coraz częściej pytanie, czy nie lepiej byłoby uskładać sumy łożone na szkoły i dać je dziecku do ręki, gdy podrośnie, kształcili jednak nadal swe dzieci. Rok „nauk w mieście" równał się w tych czasach morgowi dobrego pola, który był daleko pewniejszą lokatą przyszłości dziecka niż seminarialne czy gimnazjalne świadectwo dojrzałości.

Prowadził nas do gimnazjów i seminariów rzeszowskich, a potem dalej, aż na uniwersytety, mit „chłopskiego dziecka" — mit, którym żegnano nas już w domu. Ilekroć zeszyty moje nie były porządnie i do ostatniej linijki zapisane na wszystkich kartkach, ojciec zwracał mi rozrzewnioną uwagę: „Synu, ja nie miałem na to, żeby tak szastać pieniędzmi jak moje dzieci. Zapisywałem gęsto każdą linijkę, a potem jeszcze raz pisałem w poprzek zeszytu. Mnie nie miał kto dać. We wakacje szedłem pisać do katastru i odkładałem te parę reńskich na naukę. Własną pracą doszedłem — syn prostego chłopa — do takiego stanowiska"... Mit chłopskiego dziecka szedł za mną i moimi rówieśnikami przez rzeszowskie gimnazja: „stare", klasyczne — było „chłopskie", „kujońskie"; w humanistycznym — „nowym" skupili się w większości synowie urzędników i drobnych pracowników. We Lwowie dawne „powiatowe" miary porównawcze zmieniały się: tu, w wielkim mieście, syn nauczyciela z dalekiej wsi podrzeszowskiej racją demo- i geograficzną bywał przeważnie „synem chłopskim".

Chłopskie dziecko było rzadkością, którą należało „popierać" i „popieranie" chłopskiego dziecka szczodrze liczyło się w zasługach społecznych rozmaitych znudzonych dobrodziejów i szlachcianek. Nawet przepijający fortuny hrabiowie ustanawiali stypendia dla jednego czy dwojga dzieci ze wsi należących do ich klucza i dwa stypendia zupełnie wystarczały u nas, na zyskanie opinii „dobroczyńcy ludu".

Jeśli chłopskie dziecko robiło normalne postępy w nauce lub trochę lepsze niż dzieci innego pochodzenia, wtedy jak gdyby stało się coś całkiem nieoczekiwanego i nieprzewidzianego, coś zgoła nieprzeciętnego, mówiono: patrzcie, chłopskie dziecko! jak dobrze się uczy! Stawiano za wzór, za przykład. Ale jeśli chłopskie dziecko spróbowało tylko, jak setki innych dzieci, nie dotrzymywać kroku w nauce, mit chłopskiego dziecka odsłaniał swoje drugie, skrzętnie dotychczas ukryte oblicze — pogardę: „wiadomo, zwykły chłop, gdzie jemu do szkół, widły i cepy mu dać do ręki". O, „syn chłopa", „syn ludu", „z ludu wyszedł", to były piękne przydawki przed tytułami lekarzy, adwokatów i inżynierów i prawie wcale nie przeszkadzały w robieniu mieszczańskich partii, we wstępowaniu w mieszczańskie koligacje. Wspaniałomyślnie darowywano chłopskiemu synowi pochodzenie, jeśli stawał się profesorem, adwokatem, jeśli się wybijał. Oświata i stanowisko — te pozytywne przejawy procesu kulturalnego — stanowiły w naszych warunkach po wielekroć tragiczną ekspiację chłopskich synów przed mizernym umysłowo mieszczaństwem — ekspiację tego tragicznego faktu, że kiedyś byli chłopskimi synami. I w mieście mówiono „wybił się", a na wsi — „poszedł na pana". Dziecko chłopskie wytresowane przez szlachecko-mieszczańskie środowisko w poczuciu, iż fakt wyjścia z domu chłopskiego jest czymś poniżającym, czymś traktowanym ujemnie, o czym jak o jakiejś wstydliwości nie należy mówić i co w zespole mieszczańskich manier należy raczej zacierać za sobą — wstydziło się nieraz swoich rodziców, nie chciało już wracać na wieś, jakby pozbyło się jakiejś z kołyski wyniesionej ułomności, jakiegoś kalectwa.

I w 1938 roku, ostatnim roku szkolnym niepodległości, na uniwersytet dotarła ze mną już tylko maleńka garstka synów chłopskich. Proces oświatowy w Polsce został niemal ostatecznie zdeterminowany w dwu warstwach społecznych: oficersko-urzędniczo-ziemiańskiej na stopniu gimnazjalno-uniwersyteckim i robotniczo-chłopskiej, czyli, jeśli chodzi o szkoły, na stopniu nie przewyższającym siedmiu klas, albo średnio-zawodowego wykształcenia.

Chłopskie dziecko — ten koń wyścigowy fałszywych protektorów i przyjaciół ludu, często schodzący z toru politechnik i uniwersytetów z wysokimi nagrodami, ale i z rozedmą płuc, z suchotami — nie wytrzymało stanowego konkursu naszej oświaty. Padło na przeszkodzie, której na imię było „chłopskie dziecko".

Szlachecki ten pokaz chłopskiego dziecka, pokaz dokonywany na bezbronnych i z konieczności w narzuconą rolę wchodzących synach chłopskich, — rolę świadczącą pewne fałszywe przywileje — był ideowym odpowiednikiem niezliczonych u nas zakładów dla panien z „dobrego domu", rozmaitych gimnazjów chyrowskich, internatów Sacré-Coeur, w których koronki przy welonach Czartoryskich, Zamojskich i Potockich same przez się zwalniały panienki z konieczności wybijania się, z konieczności dochodzenia pracowitością do czegokolwiek, z rywalizacji wobec koleżanek z tego samego internatu ale bez koronek. Powszechność tego pokazu była miarą zasięgu kastowości naszego szkolnictwa, a brak jakiegokolwiek wyczucia, z jakiej chemii społecznej się wywodzi, świadczy bez wątpienia, jak bardzo mentalność szlachecka była mentalnością naszej inteligencji. Ta mentalność wlokła za dzieckiem chłopskim perfidny, choć w większości nieświadomie przez inteligencję naszą podtrzymywany i propagowany, pozytywny od wierzchu mit anomalii społecznej znikomego procentu tych dzieci w szkole — hałaśliwą legendę „chłopskiego dziecka", zdolnościami i pracowitością dochodzącego do uprzywilejowanych, z góry innym należnych sytuacji i pozycji społecznych.

Głośne bicie w szlacheckie bębny wokół paru „wybijających się" chłopskich dzieci miało zastąpić i niestety lata całe bezboleśnie zastępowało społeczeństwu naszemu brak odpowiedniego udziału chłopskiej rzeczywistości w szkolnictwie.

Reforma rolna pogrzebała ten mit w byłym „hrabstwie tyczyńskim" — na resztówce Związku Samopomocy Chłopskiej. Jeden marmurowy kominek zostawili tu chłopi na pamiątkę po marszałku krajowym, tajnym radcy dworu, krzyżem żelaznej korony odznaczonym członku Izby Panów. W pamięć parafian wpisuje go także kaligrafowana, marmurowa tablica w kościele, a w pamięć szlacheckiej epoki, która odchodzi na zawsze, mało znane świadectwo Dąbrowskiej w „Rozdrożu", że złotem zapisane tu nazwisko figuruje także wśród innych **złotem zapisywanych** u nas „zwolenników najniższego minimum nauki dla chłopów i jak najmniejszych wydatków na szkoły wiejskie — hr. W. Dzieduszyckiego, hr. Reya, hr. Stadnickiego, D. Abrahamowicza, nawet prof. J. Szujskiego". Trzysta pięćdziesiąt dzieci chłopskich w pałacu hrabiego Wodzickiego i jego żony Izabeli z Zamojskich, dzieci, wśród których kształcą się także synowie miejscowych urzędników i rzemieślników, wyrabało nową, demokratyczną rzeczywistość chłopskiego dziecka w szkole, rzeczywistość, w której fakt kształcenia się tego dziecka nie jest i nie może być niczym dziwniejszym od faktu kształcenia się dzieci kupców czy urzędników. Jest **oczywistością.**

Stukot młotków i dźwięki kielń w pałacu brzmią dla trzystu chłopskich dzieci jak radosne podzwonne, jak niedalekie jeszcze echo upadku ciężkich grud ziemi na trumnę szlacheckiego mitu „chłopskiego dziecka". ***Ziemi odoranej przez dziejowy pług reformy rolnej.***

I krótkowidztwem społecznym byłoby stwarzać nad tym grobem szlacheckiego szkodnika drugi, chłopomański mit „chłopskiego dziecka"... ponad wszystko — ograniczać rozbudowę oświaty do „chłopskich" gimnazjów, „chłopskich" uniwersytetów. Przemijają dzieje. Kaflowe piece dla „użytkujących z oświaty" dzieci chłopskich stają na miejsce złoconych, herbownych kominków. Nie ma chyba możliwości ustawienia się samych wyłącznie chłopów, w miejsce szlachty, do fotografii pod pałacem.

Franciszek Gil

JERZY BOSSAK

Film polski i malkontenci

Minął rok działalności „Filmu Polskiego". Rocznicę tę uczciły niektóre z pism litanią cierpkich pretensji i honorową salwą alarmistycznych artykułów. Dowiedziono czarno na białym, że „Film Polski" jest nadętym balonem nieodpowiedzialnej propagandy, która od roku mami naiwnych kolorowym mirażem polskiej sztuki filmowej. Tymczasem cierpliwość czekających jest już na wyczerpaniu.

Jan Kott wyraźnie powiada, że na przyzwoity film polski nie można czekać dwanaście miesięcy. Wypada zapytać, czemuż to Kott wykazuje o tyle więcej cierpliwości w oczekiwaniu na przyzwoitą powieść polską. Zdawałoby się, że w rejestrze zdobyczy odrodzonej kultury polskiej solidna beletrystyka winna wyprzedzić solidną kinematografię. Już nie tylko dlatego, że olbrzymia większość filmów pełnometrażowych, realizowanych we Francji, w Rosji, w Anglii, czy nawet w Stanach Zjednoczonych to przeróbki z powieści i sztuk scenicznych, ale choćby z tego powodu, że ocalało — według statystyki Kotta — czterystu pisarzy polskich, z których nie wszyscy stracili swój dorobek pod gruzami Warszawy. Ocalały również drukarnie, składnice papieru i zecerzy. Nazajutrz po wyzwoleniu Lublina poszły w ruch wszystkie drukarnie. Zdawałoby się, że manifest PKWN z miejsca rozpocznie złoty okres powieściopisarstwa polskiego. Stało się jednak inaczej.

To Kott właśnie omawiał niedawno w „Odrodzeniu" pierwszą powieść o partyzantce polskiej. Była to powieść francuska. Pierwsze tomy powieści ukazały się w Polsce dopiero przed niewieloma tygodniami. Dużo gorzej jest z twórczością dramatyczną, a jeszcze gorzej ze scenariuszami. I tu nie ma co zwalać winy na „Film Polski". Jeśli rzeczywiście scenariusze oceniało się niewłaściwie, najlepiej byłoby publicznie przygwoździć pomyłkę i ogłosić zdyskwalifikowane szkice na łamach któregoś z licznych czasopism literackich. Byłby to z pewnością dowcipniejszy sposób krytyki niż wymyślanie kalamburów o kinofikacji. Niewątpliwie jednak dowcipkować jest łatwiej i tak na przykład, kontynuując nietrudny kalambur Kotta, można by powiedzieć, że brak scenariuszy wynika nie z tego, że filmy robione były „na Bossaka", ale raczej z tego, że „pierwsze Kotty za płoty". Niestety, nawet najdowcipniejszy kalambur niczego nam nie wyjaśni. Faktem jest, że projekty oceniało się rzetelnie, przy udziale autorów, reżyserów i zaproszonych konsultantów. A jeśli na przestrzeni przeszło półrocznych wysiłków „Filmu Polskiego" wyłowiło się ledwie dwa, trzy szkice zasługujące na dalszą obróbkę, to nie jest to wina niewłaściwych metod pracy, ale względów bardziej zasadniczych. Nie było w Polsce nigdy tradycji pisania dla filmu i ku utrapieniu Kotta minie zapewne dalszych dwanaście miesięcy, nim w mozolnych poszukiwaniach skrystalizuje się kadra pisarzy, dla których film będzie nie tylko źródłem dodatkowych zarobków i perspektywą łatwych sukcesów, ale dziedziną rzetelnej twórczości literackiej.

To jedno, ale jest i druga strona zagadnienia. Kotta oburza krzykliwa autoreklama ludzi filmu. Miałby może rację, gdyby to była autoreklama, a nie przeróśnięty — niestety — entuzjazm optymistów, którzy uwierzyli, że w klimacie nowych możliwości powieści i scenariusze rość będą jak grzyby po deszczu. A jak jest naprawdę? W literaturze szaleje na razie okolicznościowa publicystyka i reportaż. Ukazało się kilka zaledwie powieści i nowel. Teatry łatają repertuar źle przewietrzoną starzyzną.

Na jakiej zasadzie żąda Kott od ząbkującej sztuki filmowej, żeby była oazą twórczości artystycznej w Polsce? Literaci zgłosili „Filmowi Polskiemu" szereg pomysłów, ale zapowiedziane scenariusze okazały się surowym materiałem niepoddanym prawom literackiej syntezy i artystycznej deformacji. Z tych pierwszych kontaktów rodzącego się filmu polskiego z odradzającym się piśmiennictwem wynikło kilka cennych choć gorzkich doświadczeń, przede wszystkim przekonanie, że na razie — w pierwszym okresie budowy filmu — wypadnie korzystać z powieści i sztuk scenicznych, z dojrzałej twórczości literackiej nie przeznaczonej w zasadzie dla kina, ale też nie będącej ubocznym produktem pracy pisarskiej. Filmowi potrzebne są powieści i sztuki — przede wszystkim aktualne (w sensie problemu, a nie rekwizytów aktualności), o tematce zarysowanym ostro, nasycone działaniem, potrzebne mu jest podglebie solidnej beletrystyki i dramaturgii. Takie są prawdy, których nie da się zbyć dowcipnym kalamburem ani rewolwerowym poszkwilem Minkiewicza.

Ale scenariusz to tylko jeden z odcinków zagadnienia filmu polskiego. Są jeszcze i inne, z którymi Kott załatwił się bez trudu, przyrównując „Film Polski" do oszukańczego automatu: z jednej strony wrzuca się mnóstwo cennych rzeczy — przede wszystkim pieniądze — z drugiej strony nic nie wylatuje. Atelier, fabryki sprzętu, laboratoria, wszystko, co w ciągu roku wyrosło dosłownie z niczego, kwituje Kott sceptyczną uwagą — „czy jednak z tą bazą techniczną to nie maleńka przesada?" Nie, nie przesada. Wytłumaczą to Kottowi już nie fachowcy od filmu, ale wszyscy, którym twarda konieczność narzuciła rolę budowniczych przemysłu. Dla ścisłości dodajmy: idzie o przemysł, który do wojny ledwie wegetował, a po wojnie został dosłownie zmieciony z powierzchni naszego życia gospodarczego. Gdyby w ciągu roku nie zrobiono nic prócz atelier i laboratorium, byłby to dostateczny dowód, że na czele filmu polskiego stoją nie „młodzi zapaleńcy bez doświadczenia", ale ludzie, którzy realizują program konsekwentny i konstruktywny. Ciekawe zresztą, kogóż by można dziś było przeciwstawić „młodym zapaleńcom". Może byłych właścicieli kin albo innych przeciwników uspołecznienia filmu? Ci panowie mają obecnie możność popisania się swymi talentami, wypada bowiem przypomnieć, że na skutek starań kierownictwa „Filmu Polskiego" projekty wprowadzenia monopolu produkcyjnego zostały poniechane. Czekamy na popisy inicjatywy prywatnej, która może choćby dziś przystąpić do organizacji własnych wytwórni filmowych.

Wróćmy jednak do artykułu Jana Kotta. Martwi nas bardzo, że to Kott właśnie stara się pomniejszyć bilans rocznych osiągnięć „Filmu Polskiego". W rachunku — prócz urządzeń technicznych — wypadłoby wymienić po stronie aktywów pięćdziesiąt numerów wkpionej przez Kotta „Kroniki". Nie wiadomo dlaczego irytuje malkontentów techniczna sprawność gazety filmowej, nie wiadomo również dlaczego usiłują przedstawić „Kronikę" jako rewię naszych ministrów. W rzeczywistości ministrowie zajmują nie więcej niż 15 do 25 procent ogólnego metrażu tygodnika i tyle się chyba aktualiom politycznym należy. Resztę stanowi chwytany na gorąco reportaż odbudowy gospodarczej i kulturalnej, autentyczna relacja z frontu codziennej pracy całego narodu. Gdyby Kott przeprowadził rozmowy w Ministerstwie Informacji, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, z szefami misji wojskowych działających na terenie obozów polskich na zachodzie, byłby się zapewne dowiedział, że w walce z nieprzyjaciółmi nowej Polski trzystumetrowy zwój kroniki znaczy więcej niż tona propagandowej bibuły. Doprawdy trudno zrozumieć drwiny z biuletynów odbudowy stolicy i portów, z autentycznej relacji o akcji osiedleńczej, z reportaży o trudnym życiu uczącej się młodzieży, z tego, co jest świadectwem żywotności narodu i haseł, które niesympatyczna Kottowi propaganda uparcie stara się zdyskredytować.

Ale „Kronika" jest nie tylko pozytywnym elementem masowej akcji wychowawczej. Jest także szkołą rodzącego się filmu polskiego. Raz jeszcze wypadnie wspomnieć o czterystu literatach, którymi szczyci się Kott. W filmie sytuacja przedstawia się dużo gorzej. Spośród niewielu filmowców polskich uchowało się zaledwie kilku operatorów, przeważnie bez doświadczenia w pracy nad filmem artystycznym, trzech czy czterech reżyserów i — to wszystko. Można dziś rozdzierać marynarkę, wołając o rachunek z pieniędzy wydanych na kilka krótkometrażówek, które nie widziały i nie ujrzą światła ekranów. Ale można także zastanowić się, że przecież próby sił nie robi się w filmie metodą ustnego egzaminu. Trzeba dać ludziom do rąk narzędzia pracy i przeprowadzić skrupulatny rachunek możliwości. Trzeba wypróbować starych i młodych reżyserów, operatorów, początkujących scenarzystów. Z szesnastu krótkometrażówek, zrealizowanych na przestrzeni roku 1945, aż pięć powędrowało na półkę. Może się Kott oburzy, ale ludzie odpowiedzialni za gospodarkę w „Filmie Polskim" pieniędzy tych nie żałują. Dzięki tej polityce ukazało się na ekranach polskich i zagranicznych przynajmniej dziesięć innych filmów krótkometrażowych, z których jedne dokumentują wkład Wojska Polskiego w wojnę z Niemcami, inne ogrom zniszczenia i prawdziwe bohaterstwo odbudowy. Depesze donoszą właśnie, że film „Odbudujemy Warszawę" wszedł na ekrany czterech największych kin Nowego Jorku. Ale zdaniem Kotta wszystko to jest oszukańczym automatem, który wchłania pieniądze, nie dając nic w zamian.

Pora na wnioski końcowe. Nikt nie neguje potrzeby społecznej kontroli nad filmem. „Film Polski" nie uchyla się od wyjaśnień, z zasady natomiast nie reaguje na dowcipy zawodowych błaznów i kalamburzystów. Kłopoty filmu polskiego są kłopotami polskiej sztuki i polskiego przemysłu. Jeśli rzeczywiście nie idzie o pisanie złośliwości, trzeba o filmie pisać inaczej. Krytycznie, ale z zachowaniem obiektywizmu. Bez pomniejszania prawdziwych sukcesów i bez wyolbrzymiania niepowodzeń. Z uwzględnieniem momentów od filmu niezależnych, ale dla sprawy istotnych. Co innego życzliwa krytyka, a co innego alarmowanie opinii publicznej. Różnica jest mniej więcej taka, jak między opozycją a dywersją. Warto o tym pomyśleć.

Jerzy Bossak.

IRENA KRZYWICKA

Paryż z bliska

Paryż, w lutym 1946 r.

Paryż jest piekielnym miastem, wie to każdy, kto się w nim znalazł choćby tylko dla rozrywki: nigdy nie ma się na nic czasu. Co dopiero, kiedy się przyjeżdża tu dla pracy, jak ja, nieszczęsna, chociażby. Wtedy ma się uczucia buldoga, który trzymając w zębach skrzydło wiatraka kręci się z nim do utraty przytomności. Tym się tłumaczy, że dużo już czasu upłynęło od mojej pierwszej korespondencji i za dużo nagromadziło się spraw, o których należałoby napisać, które mogą interesować polskiego czytelnika. Od czego tu zacząć?

A więc przede wszystkim odbyły się wybory, pierwsze wybory, w których wzięły udział kobiety.

Francuzki zdobyły sobie wreszcie równouprawnienie polityczne, choć przeciętnego Francuza bawi jeszcze, że kobieta jest posłem czy szefem departamentu (czasem kończy się to małżeństwem, jak się to stało z ministrem spraw zagranicznych p. Bidault, który ożenił się ze swoim dyrektorem gabinetu, piękną panną Borel), ale rzeczywistość przekonywa na każdym kroku, że na wymarciu są już typy próżniaczych elegantek francuskich, czy poules de luxe, czy wreszcie tępych mieszczek nie widzących świata poza kuchnią i sypialnią, że jest już czas i miejsce na kobietę pracy, kobietę walczącą i umiejącą reprezentować swój kraj nie tylko przy pomocy pięknych toalet. Z takimi kobietami zetknęłam się na Międzynarodowym Kongresie Kobiet, gdyż miałam zaszczyt wejść w skład delegacji polskiej. Zjazd był imponujący, kobiet z całego świata setki (w tym — zaznaczam z naciskiem dla antyfeministów — dużo młodych i ładnych), jednomyślność całkowita. Aż za wielka, myślało się chwilami. Porządek dnia, a raczej dni, obejmował sprawę walki z faszyzmem, walki o pokój i demokrację, opieki nad kobietą i dzieckiem. Piękne sprawy i doniosłe, ale żeby już tak być zupełnie szczerą, sprowadziły się — to już jest może wada wszystkich kongresów — do wielkiej sumy pięknych słów, zdań i okresów, które układały się we wciąż inną, choć z góry wiadomą mozaikę, jak szkiełka w kalejdoskopie dziecięcym. Każdy kraj zapewniał przez usta swojej delegatki, że nie cierpi faszyzmu, że chce budować demokrację i że to on najwięcej ucierpiał podczas wojny. Ta bezosobista jednomyślność była nużąca i dlatego zapewne taki sukces odniosła jedna z naszych delegatek, świetna kobieta, major Wolińska, duża jak pięść, z temperamentem jak Wezuwiusz. Kiedy przyszedł czas na jej referat, który miał zresztą zostać odczytany przez kogoś innego, nasza „majorka" skoczyła na estradę jak tygrysica i wykrzyczała powitanie po polsku, choć to było sprzeczne z regulaminem (tylko cztery języki miały prawo obywatelstwa na kongresie). Sala zahuczała oklaskami w odpowiedzi i huczała długo. Nikt nic nie rozumiał, ale zamiast poważnych pań, recytujących grzecznie swoje referaty, kongres zobaczył nagle płomienną figurkę w mundurze, której aparycja (taki mały kawałek kobiety i — major), rozmach no i parę nazw o smutnej międzynarodowej sławie: — Majdanek, Treblinka — same mówiły za siebie. Bez wielkiego gadania wszystko zostało powiedziane i wśród dostojnej celebracji objawił się żywy człowiek i wykrzyczał swoje, właśnie na złość, po polsku, co było jednym wdziękiem więcej! Ludzie na własne utrapienie tworzą martwe formułki, a potem jakże są wdzięczni, gdy się je łamie. Toteż major Wolińska była przedmiotem nie tylko doraźnej owacji, ale fotografowano ją potem i zapraszano bez końca.

Centralnym punktem kongresu było przemówienie Dolores Ibarruri, czyli Passionarii. Kiedy wstąpiła na mównicę ta piękna, siwowłosa kobieta, żywy symbol walki wolnościowej, nieubłaganej, dziesiątki już lat trwającej, wszystkie obecne na sali kobiety dostały gorączki. Zerwały się z miejsc i waliły brawa, aż mury się trzęsły, stojąc wysłuchały całego przemówienia i długo jeszcze potem klaskały. Największa mówczyni świata chwyta audytorium głosem mocnym jak dzwon, siłą ekspresji — mimo iż mówi po hiszpańsku, rozumie się o co chodzi — i namiętnością, od której poszło jej imię, namiętnością, która podobno niegdyś zaraźliwa była jak ospa. Dziś ten płomień może nieco przygasł, ale pozostał jeszcze wielki dar sugestii i pozostał zwłaszcza wielki prestige nazwiska.

Paryż jest miastem kongresów, zjazdów, konferencyj. W ciągu tygodnia więcej się tu człowiek nasłucha przemówień niż w ciągu całego życia. Ciekawe to i nużące jednocześnie, jałowe i konieczne. Jedyny, jak dotychczas, sposób dokumentowania międzynarodowej jedności.

Uroczyste posiedzenie Sorbony w celu wręczenia uczonym całego świata doktoratów honoris causae było dla nas szczególnie przyjemne, gdyż dwóch naszych znakomitych uczonych — prof. Nitsch i prof. Pieńkowski — znalazło się w liczbie honorowych doktorów. Choć nie byli obecni na kongresie, zasługi ich głośno zostały wymienione przez dziekanów przed znakomitym audytorium.

A potem muzyka i przemówienia i muzyka, bite trzy godziny. W stanie zupełnego wyczerpania wyszłam z dostojnej sali, aby pójść na zebranie literatów francuskich, urządzone na cześć literatów belgijskich. I znów przemówienia, długie, soczyste, zaokrąglające się kwiecistymi frazesami, płynące kaskadami, szemrzące strumyczkiem, drażniące figlarną łaskotką dowcipu, ale długie, przydługie... I potem deklamacja. I znów przemówienia.

Po takim dniu nawet kieliszek szampana nie może przywrócić zmąconej równowagi wewnętrznej. Jest tylko jeden ratunek, aby ochłonąć — trzeba przejść się wieczorem samotnie po ulicach Paryża, odetchnąć łagodnym, aksamitnym powietrzem, w którym jak echo dalekiej melodii przepływa zapach morza, w ciemnościach, gdzie z rzadka migoce latarnia gazowa, po wymarłych (tak!) bulwarach iść przed siebie, jak we śnie, wśród cieni dawnego miasta cień człowieka, którym się niegdyś było. Knajpy pozamykane, ciemno, pusto, ludzi nie widać i cicho jest w tym nocnym Paryżu jak we śnie o przeszłości.

W salach teatralnych za to schroniło się trochę dawnego paryskiego życia. Widownia jest inna niż dawniej, ani śladu pięknych toalet, szary, biedny tłum. Tu i ówdzie błyszczą tylko platynowe włosy i jaskrawo czerwona lub biała kurtka, tzw. canadienne, młodej dziewczyny. Tu i tam połaskocze wzrok piękny płaszcz futrzany, cały ze skunksów lub lisów, zresztą nikt się nie ubiera, tak że nasze „stroje" warszawskie: wymięte garnitury z pokrzywy i biedniutkie sukienki nikogo tu nie rażą. Skoro już zaczęłam mówić o modach, muszę powiedzieć, że my w Polsce obuci jesteśmy lepiej. Tutaj wszystkie prawie Paryżanki chodzą w drewniakach z gołymi piętami i bardzo często bez pończoch, choć mrozik też czasem dopieka. Mieć buty na skórze, to już jest wielki szyk. Gołe głowy przeważnie, bose niemal, ale każda prawie ma żakiecik w najróżnorodniejszych kolorach, dość długi i od razu jest ładnie.

Sztuki, które widziałam na scenach paryskich, kazały mi się bardzo głęboko zamyśleć. Nie dlatego, żeby były takie piękne lub głębokie, ale że w pięciu teatrach naraz pokazują na scenie samych prawie wariatów. Nic nie przesadzam! To już jest symptomat. W tym szaleństwie jest już nie metoda, ale jakiś niepokojący objaw. Jestem skłonna z tego wyciągnąć wnioski, że świat jednak jest szalony i to znajduje swoje odbicie w teatrze, który jest najczulszym receptorem rzeczywistości. A w każdym razie, że burza obłędu przewaliła się nad światem, że nic nas już nie może zadziwić, że podstawy racjonalistycznego myślenia zostały jednak poważnie podważone. Ale znów inny objaw: dawniej taka sztuka z wariatami byłaby duszna od grozy i niesamowitości. Dziś przeciwnie — sala aż ryczy ze śmiechu. Może to znów jest dobry objaw, reakcja śmiechu jest zawsze zdrowa. Jeżeli świat potrafi się śmiać z własnego szaleństwa, to znaczy, że jest na drodze do wyzdrowienia.

Dotychczas widziałam dwie sztuki spośród tych „wariackich" i muszę wyznać, że choć od czasu wojny nie śmieję się łatwo, nie mogłam się opanować na „Arszeniku i starych koronkach" autora amerykańskiego Kesserlinga; komedia ta święci wielomiesięczne już tryumfy. Czegoś równie komicznego już dawno nie widziałam. Ale kiedy opowiem treść, czytelnik zdziwi się na pewno. Otóż kurtyna się podnosi i widzimy wnętrze przytulnego pensjonatu, który prowadzą dwie siostry, dwie urocze staruszki pełne naiwnego, niemal dziecięcego wdzięku. Obok nich przemiły dryblas, siostrzeniec, panienka, z którą się dryblas czuli, poważny, zażywny starszy pan — idylla. I oto nagle starszy pan salutując oznajmia, że jest prezydentem USA i trąbiąc wbiega na schody. Wszyscy uśmiechają się łagodnie i ciocie wychodzą z pokoju. Młody człowiek uchyla wieka rodzinnego kufra i wykonywa skomplikowany taniec przerażenia i zgrozy. W kufrze jest trup, to jasne. Wracają ciocie i z dziecięcą pogodą oznajmiają, że mister Fawsham, który się tam znajduje, został przez nie przy pomocy arszeniku odesłany do lepszego świata, bo tu był taki samotny i nie miał dla kogo żyć. Oszołomiony siostrzeniec, którego coraz to wpadająca do pokoju panna zamęcza swoją miłością, wyrzuca ją co chwila za drzwi, chce ratować ciotki, dowiaduje się, że jeszcze 12 trupów jest w piwnicy, stawić musi czoła autentycznej parze zbrodniarzy, która przynosi jeszcze jednego trupa, „samozwańczego", jak twierdzą z godnością ciotki, policji i jej komisarzowi, który jest grafomanem — i tysiąc najdzikszych zdarzeń, których opowiadanie nie miałoby sensu. Z flegmatycznego młodzieńca, wplecionego w taki wir wypadków, pot płynie obficie, ale cała rzecz odbywa się w atmosferze zupełnej pogody i wybornych obyczajów. Za każdym razem, kiedy słowo „trup" pada ze sceny, sala leży ze śmiechu. Ano okazuje się, że i tak można przedstawić reakcje ludzkie. Sztuka w swoim całkowitym absurdzie jest wybornie zrobiona i jak każdy pur nonsense nie taka głupia, jakby się zdawało. Okazuje się zresztą w końcu, że większość towarzystwa to wariaci.

Ale tu jeszcze obłąkani żyją jakby na marginesie ludzkiego istnienia. Inną rolę przeznaczył im Giraudoux w swojej ostatniej sztuce „La folle de Chaillot", która jest wielkim wydarzeniem teatralnym Paryża ze względu na nazwisko znakomitego autora zmarłego podczas wojny, na nazwisko reżysera i głównego aktora — Jouveta i na pomysłową inscenizację. Było bardzo wiele krzyku i reklamy koło tej sztuki, która, powiedzmy to sobie otwarcie, jest słaba, zwłaszcza druga jej połowa, bo pierwsza pachnie jeszcze prawdziwą poetycznością. Centralną postacią jest la folle de Chaillot, autentyczna postać znanej na bruku paryskim dziwacznej starej damy. Do spółki z trzema jeszcze wariatkami i ze specyficzną fauną ludzką Paryża: gałganiarzem, śpiewakiem ulicznym, pomywaczką, policjantem i innymi, wypowiada ona walkę kapitalistycznemu światu, a właściwie światu kombinatorów, który brutalnie i bez skrupułów żeruje na głupocie i słabości ludzkiej. Wariatka z Chaillot, trzeźwiejsza niż ludzie trzeźwi, zwabia ich przy pomocy swych dziwacznych, również tkniętych żądłem poetycznego szaleństwa, satelitów do podziemi paryskich, gdzie im obiecuje — nie skarby, lecz źródło nafty — i tam zginą ofiary własnej chciwości. Zginie więc mec (czytaj: mek — w paryskiej gwarze — grandziarz) od przemysłu, i mec od handlu i mec od wina i mec od polityki, wszystkie meki, którym w głupocie lub zaślepieniu wysługują się porządni ludzie. Szaleńcy uratują świat.

Innych sztuk o wariatach nie oglądałam. Na razie mam dosyć. Widziałam za to parę bardzo niedobrych przedstawień w „Komedii Francuskiej" i sztukę pisarza angielskiego Morgana, która tu się cieszy długotrwałym sukcesem, a była grana u nas przed wojną, z Gorczyńską. Powiem wam po cichu, że nic tak dalece ciekawego nie ma w teatrach do oglądania. Większość sztuk to wznowienia, a powojennych rewelacyj jakoś nie widać. Ano cóż, w czasach wielkiego zamętu sztuka nie ma zwyczaju kwitnąć.

I w kinie nie widać objawień. Przeciętna produkcja francuska jest słaba i ciągle na to utyskują krytycy. Jeden film dobry, to „Dzieci paradyzu", a i to z zastrzeżeniami. O ile wiem, zobaczycie go w Polsce, nie będę więc o nim pisała obszerniej, zwrócę tylko uwagę na odgrywającą się w tym filmie pantominę, odtańczoną „bosko", jak mówią Francuzi, którzy są wymagający, przez jednego z najlepszych aktorów tutejszych Jean-Louis Barrault. Taniec pierrota — cóż może być banalniejszego — a jednak prawdziwy artysta potrafi każdy banał przemienić na prawdziwą sztukę.

I amerykański film dziwnie podupadł. Byłam na pokazie ostatniego filmu Réné Claira z Marleną Dietrich, a żywa Marlena siedziała tuż koło mnie w loży. Marlena wciąż jeszcze ładna, ale to niewiele pomaga: we filmie martwa i zmanierowana, a sam film pożal się Boże, setna odbitka z „Marocca", że już nic żywego w nim nie pozostało. Patrzałam na ten film jak na pogrzeb dwóch znakomitych artystów, zwłaszcza zewłok Réné Claira — którego pierwszych filmów, „Niech żyje wolność" i „Milion", nie zapomni nikt, kto je widział — sprawiał przykre wrażenie.

Jeden tylko dobry film, podobno nawet arcydzieło, idzie w tej chwili. To „Ostatnia szansa" szwajcarskiej produkcji, historia grupki ludzi uciekających przed Niemcami i kryjących się na terytorium szwajcarskim. Nie widziałam go jeszcze, bo nie mogłam się dostać; rozdzierające sceny odbywają się przy wejściu. Już bo Paryżanie pasjonują się rozrywkami! Przed każdym kinem kilometrowe ogony, ludzie stoją godzinami jak baranki i odchodzą potulnie nie dostawszy biletu. Nie mam w sobie tej anielskości. Tracić cenne godziny na stanie w ogonku? Szkoda życia.

Na zakończenie tego kongresowo-teatralnego artykułu wspomnę słów parę o dwóch wieczorach pieśniarskich, na które wybrałam się z wielką ciekawością. Jak wiadomo, piosenka to najbardziej uroczy produkt Paryża. A piosenkarze paryscy to coś niepowtarzalnego w świecie. Wśród całego ich tłumu są ci najulubieńsi, toteż tłoczno jest na wieczorach Chevaliera, choć uroczy Moryś mocno się zestarzał i prezentuje się nam w postaci zażywnego starszego pana o przekrwionych policzkach, z Legią Honorową w butonierce. Stracił wiele z dawnego czaru, ale mistrzostwo aktorskie posiada w takim stopniu, że potrafi sam jeden najprzeróżniejszym błaznowaniem bawić salę przez godzinę.

Wyższą artystycznie klasę niż on reprezentuje Charles Trenet, zadziwiające naprawdę zjawisko. Mały, brzydki, z jakimiś ryżawymi kudłami na głowie i wytrzeszczonymi oczami. Sam komponuje swoje piosenki, pisze słowa i muzykę i śpiewa. Jak śpiewa! Jak się przemienia! Mały brzydal staje się nagle jakimś leśnym duchem, jakimś żyjącym poetycznym absurdem, jakimś irracjonalnym zjawiskiem!

Tyle na razie o tym zawsze uroczym, zawsze pełnym niespodzianek i wrażeń Paryżu. Życie tu jest skomplikowane i ciężkie, ale dla intelektualistów zawsze pełne powabu.

Irena Krzywicka

Z wydawnictw

AFORYZMY KOŚCIUSZKI

Tadeusza Kościuszki wskazania obywatelskie. **Wybrał,** słowem wstępnym opatrzył prof. dr **Henryk Mościcki.** (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 30 i 2 nl i 1 ilustracja.

Aforyzmy Kościuszki, „człowieka niełatwego słowa, ale znajomego czynu" — jak go określa trafnie prof. Henryk Mościcki — wybrano z największym znawstwem źródeł: korespondencji, notatek, odezw, manifestów, not, przemówień, pism. Są wśród tych wyjętych myśli truizmy, są także spokojne, lecz bardzo wnikliwe spojrzenia i oceny.

„Lękam się — pisał Kościuszko w 1815 r. — że Niemcy dadzą początek niesnasek przyszłych". W tym wypadku potrzebny byłby kontekst dla ustalenia dokąd sięgało przewidywanie Kościuszki. Lub jeszcze o Niemcach: „Prusak zawsze był wiarołomcą, w każdych przypadkach".

Albo: „Trzeba być surowym względem próżniaków, włóczęgów i żebraków. Trzeba ich zmusić do pracy: budowy dróg, kanałów spławnych, brukowania miast albo do koszenia na wsi..." Albo też: „Było interesem magnatów osłabiać ducha współziomków, uniżać ich przymioty, aby nie uczuli swej mocy i nie zrzucili haniebnej opieki, gdyż przez to zginąłby cały ich wpływ i powaga". Ale wśród wskazań w omawianym wyborze nieliczne tylko noszą akcenty społeczne.

Drugą częścią broszurki okolicznościowej, wydanej u progu uroczystości kościuszkowskich, jest kalendarium, bardzo dokładne i obfite, aż po dane o przewiezieniu zwłok na Wawel i niektórych pomnikach wzniesionych „wielkiemu hetmanowi demokracji polskiej". Nie miał w sobie błyskotliwości, lecz był istotnie wielki, jeżeli z odciętej od świata i zasłoniętej sasczyzną wsi, z Mereczowszczyzny utorował sobie drogę do przodującego postępu, do samej jego przedniej linii.

„Mniemają niektórzy, iż potrzeba pierwej oświecić lud, zanim mu dać wolność. Ja rozumiem przeciwnie, że chcąc oświecić lud, trzeba go uwolnić".

Wartość broszury jest większa niż aktualna jej użyteczność. Wartość tę podnosi nader staranna szata i nieszablonowa, mniej znana podobizna Kościuszki.

Józef Sieradzki

NOWE MAPY

Polska Zachodnia. Mapa komunikacyjno-administracyjna ze słownikiem nazw niemiecko-polskich. Podziałka 1:1 000 000. Opracowała **dr M. Kiełczewska.** Poznań, Polski Związek Zachodni, 1945.

Ostatnie miesiące przyniosły szereg wydawnictw kartograficznych, których potrzebę odczuwało społeczeństwo nasze od dawna. Nowe granice, zwłaszcza zachodnie, rozmieszczenie miejscowości, ongiś polskich i dziś znowu naszych, ich właściwe nazwy, które niestety poszły najczęściej w niepamięć, budzą szczere zainteresowanie ogółu.

Oprócz map fizyczno-politycznych dosyć częste są mapy komunikacyjno-administracyjne. Do ich rzędu należy także omawiana mapa.

Jako mapa Polski Zachodniej obejmuje ona Rugię, Berlin i Drezno na zachodzie, co dobrze się stało, bo przecież interesuje nas niewielka odległość zachodniej granicy polskiej od tych miast. Źle jednak, że tej tak ważnej granicy nadaremnie szukalibyśmy na mapie, chociaż są już na niej granice województw z dnia 7. VII. 1945. Jest to wielki brak tej mapy.

Na wschodzie urywa się mapa przed Łodzią, Zawierciem, Dąbrową Górniczą i Oświęcimiem, obcina więc kawałek przedwojennego województwa śląskiego. Z tego powodu nie mogła być uwzględniona na mapie nowa wschodnia granica województwa śląsko-dąbrowskiego. Granice województw są w ogóle niewyraźne i urywają się gdzieniegdzie, np. południowa granica województwa bydgoskiego. Granice te stanowią jedyną nowość mapy.

Dalsza jej zaletą jest podanie kilometrażu wzdłuż gościńców, tak potrzebne automobilistom zwłaszcza. Również klasyfikacja dróg samochodowych na autostrady (Berlin—Szczecin, Berlin—Zabrze, względnie Niemodlin), główne i boczne drogi automobilowe jest potrzebna w związku z przeznaczeniem mapy.

Niektóre nazwy nie odpowiadają ich obecnemu brzmieniu. Np. na Śląsku: Wałbrzych nie Walbrzych, Lwów nie Lwówek, Kłodzko nie Kładzko. Brak na mapie również niektórych ważnych dla ruchu automobilowego miejscowości np. Jastrzębiec-Zdrój.

Dwa skorowidze ziem powracających, dodane do mapy, jeden ogólny orientacyjny i drugi niemiecko-polski, stanowią pożyteczne uzupełnienie mapy.

Rzeczpospolita Polska. Podziałka 1 : 1 500 000. Opracowano i wydano w Instytucie Kartograficznym i Wydawniczym „Glob" Jana Chodorowicza w Krakowie.

Jest to mapa polityczno-komunikacyjna, a właściwie tylko topograficzno-komunikacyjna, bo oprócz naznaczonego (i to niezupełnie wyraźnie) terytorium Polski współczesnej nie podaje ani granic województw ani granic między ościennymi państwami. Byłoby to tym bardziej pożądane, że mapa obejmuje znaczny obszar Polski historycznej od Berlina i Pilzna na zachodzie po Winnicę, Żytomierz i Bobrujsk na wschodzie.

Wobec tego właściwa Polska oznaczona żółtą plamą zajmuje zaledwie pół mapy, co przy dość obfitej treści zmniejsza jej czytelność.

Z sieci komunikacyjnej zaznaczono na mapie tylko autostrady niemieckie (nawet autostradę Berlin-Bytom, choć nie jest w całości skończona). Brak natomiast osobnej sygnatury na autostrady polskie. A przecież wiemy, że było ich u nas także trochę i choć różnią się szerokością od niemieckich, mają również asfaltowaną nawierzchnię. Należałoby je na mapie odróżnić od „zwykłych" dróg bitych.

Przy gościńcach podano kilometraż, przeważnie jednak trudno czytelny. W ogóle techniczna strona mapy pozostawia dużo do życzenia. Druk nie wszędzie jest wyraźny, zwłaszcza w obszarach gęsto zaludnionych. Rzeki i ich nazwy, oznaczone zbyt wodnistą farbą, są na mapie ledwo widoczne.

Mieczysław Woźnowski

Zamiast kwiatów

Rok temu szamotaliśmy się z pragnieniami, wyrywaliśmy się jednym, by ulegać drugim. Lublin był już wtedy dworcem autobusowym, z którego odjeżdżały grupy zaopatrzone w prowiant na 24 godziny i entuzjazm, zdawało się, na lata. Warszawa, Łódź, Kraków. Przebierano w miastach, jak dzisiaj przebiera się w koszyku z bułkami. Nie istniał zakaz obmacywania.

Niecierpliwi rwali bez zastanowienia. Warszawiacy przeważnie. Byle prędzej dotrzeć do ruin, sprawdzić ich realność i przeżyć ostatnią już nieodwołalną pewność. Ja również byłem między nimi. Obszedłem zgruchotane do fundamentów rodzinne strony, Bugaj, Świętojańską, Podwale...

Gdy znalazłem się znów w Lublinie, byłem wyzwolony ze wszystkich kompleksów. Bez pochodzenia sprawdzalnego, bez miłości własnej, bez tęsknoty osobistej stałem się idealną cząstką tłumu beznamiętnych, którzy oceniali możliwości przyszłe na zimno, z wyrachowaniem.

Dwie już zresztą tylko pozostały takie, które mogły być brane pod uwagę: Kraków i Łódź. Chociaż jak każdy miałem prawo wyboru, zdałem się na los, a konkretnie na Karola Kuryluka. On chodził spokojny między Krakowskim Przedmieściem a Radziwiłłowską, między Boreiszą a Zofią Dembińską, jak dzisiaj ja między Basztową a Teresy. Po każdej turze, którą odbył, pytałem go, jak się pyta o pogodę. Odpowiadał: Łódź. Nim zdołałem wiadomość tę donieść do wnętrza świadomości, on wracał już z odpowiedzią: Kraków. A potem znowu Łódź i znowu Kraków i jeszcze, wreszcie wyjechał bez pożegnania, zostawiwszy mi pisane zlecenie, bym z książkami, szafą i wszystkimi utensyliami pierwszej potrzeby sunął w jego ślady. Ślady te tymczasem zatarli inni odjeżdżający i siedząc na stercie pakunków usiłowałem z samochodowej marki wywróżyć sobie wyznaczoną mi stronę... świata. Tak, bo we wspomnieniu nie podobna nie przesadzać.

Więc Kraków.

Te pierwsze krakowskie dni, żeby tylko dni, tygodnie, rysują się jakżeż wyraźnie we wspomnieniu! Nigdy w życiu nie byliśmy tak głodni. Hotel Francuski, Panie świeć mu jak najgwałtowniej, czynił wszystko, by zniechęcić nas do miasta, jego mieszkańców. Więcej: do życia. Może miał tam ktoś cichą nadzieję, że nasz lubelski entuzjazm spali się zamiast tłuszczu, białka i węglowodanów. Tylko wodę do gaszenia dawano. My jednak za przykładem Jana Kotta woleliśmy obgryzać paznokcie. Podejrzewam dziś, że Putrament w głodowej pasji już wtedy obłamywał i zjadał skrycie „wystające" kawałki Szwajcarii.

A oni, „krakowiaki", „w meta ubiorach, w ultra kolorach", zaspani jeszcze okupacją chodzili, wystawali pod Sukiennicami, rumiani i niespokojni tylko o swoje dusze. Że niby my się do nich dobrać chcemy, że na ich nieśmiertelność dybiemy. Jakbyśmy nic lepszego do roboty nie mieli wtedy, kiedy się jeszcze „Tygodnik Powszechny" z zamętu nie wyłonił.

My? Cóż?

Julian Przyboś jak to on, w Boga nie wierzył i wiersze układał, a w wolnych chwilach zachwycał się „storczykiem wieży mariackiej". Adam Ważyk, który się jeszcze wówczas ku naszemu późniejszemu żalowi nie zdecydował na Łódź, domacywał się Norwida. Stanisław Piętak też kogoś (kogo, nie pamiętam), a Karol Kuryluk od rana do wieczora całą swoją trudną elokwencją odradzał wszystkim wówczas chętnym natychmiastową zmianę przekonań. (Sandauera wówczas nie było w Krakowie. On jeszcze autentyczną kulą strzelał gdzieś w autentyczny płot).

Bo wtedy prawie wszyscy biegli w piśmie byli chętni. Aż podziw brał słuchać i patrzeć. Śpieszyli się jeden przez drugiego, by nie pozostać w tyle, nie przeobrażać się za powoli Pamiętam, w jakie zdumienie wprawił nas jeszcze w Lublinie artykuł pewnego poety, który zdołał poza kolejką, jakąś drogą nadzwyczajną przesłać nam z Krakowa swoje wyznanie wiary. Było to bardzo namiętne wyznanie, a dla nas dosyć kłopotliwe. Ku zdziwieniu owego poety nie ukazało się ono nigdy w „Odrodzeniu".

Ten okres czterech pierwszych tygodni krakowskich wypełniony był przyjmowaniem zgłoszeń zasadniczych Jedne były ustne, inne pisemne. Lękaliśmy się wówczas poważnie o los pisma, bo na każdą nieomal propozycję współpracy otrzymywaliśmy starannie wystylizowaną deklarację ideową. Gdzie są nowele gdzie artykuły krytyczne, gdzie literatura? pytaliśmy się ich wszystkich, a oni, że albo nieodkopana, albo nieprzepisana, albo nieporawiona. Tylko Stanisław Dygat nie czynił żadnych trudności: dał maszynopis „Jeziora Bodeńskiego". Byliśmy mu wdzięczni za tę bezpośredniość i darowaliśmy mu natarczywość, z jaką się domagał natychmiastowego wtajemniczenia w doktrynę komunizmu.

Tak jakoś spodziewano się po nas tego, o co się sami nie podejrzewaliśmy. Może jakieś błyski były w naszych oczach, może wyżywienie w Hotelu Francuskim sprawiało, że mieliśmy wygląd fanatyczny. Pamiętam z rozmów niektóre zwroty, które mnie osobiście jakoś jednoznacznie dotyczyły. Kuryluk — wiadomo: „Sygnały". Przyboś — świetny poeta. A on? — Ani poeta, ani „Sygnały"... Śmiać mi się dzisiaj chce, gdy mnie, człowiekowi, który nie czuł nigdy do żadnej partii politycznej powołania, przypisywano jakąś funkcję tajemniczą... Dużo czasu upłynęło, nim nabrano do mnie przekonania i zorientowano się, że ja jestem po prostu tylko do łamania.

Byłoby to jednak zbyt wielkim uproszczeniem wspominków, gdyby pominąć tych, którzy nas o nic nie podejrzewali. Byli. Przychodzili nieomal prosto z mostu i również... żenowali. Właśnie przesadną znów prostotą. I tak np. znów pewien poeta (oczywiście nie ten, który się obawiał, że go ktoś wyprzedzi w ewolucji) przyniósł utwory o wyraźnej tendencji doraźnej, w których nazwisko jednego męża stanu zostało przekreślone na korzyść drugiego. Przekreślenia i dopiski były wykonane ołówkiem i tak niedbale, jakby autor nie liczył się poważnie z ich ostatecznością.

Kiedy się 25 lutego ubiegłego roku ukazał pierwszy „krakowski" (a trzynasty kolejny) numer „Odrodzenia", była — niech nikt nie usiłuje przeczyć — mała sensacja.

Pismo literackie! Zofia Nałkowska, generał Wysokolski, minister Aramowicz... Same stare i dobrze przed wojną znane nazwiska. Czerwona farba została dyskretnie użyta tylko do uszminkowania ust pani Olgi Chrudoszowej.

A potem co tygodnia sensacja się powtarzała. Nakład rozchwytywano w ciągu kilku godzin. Kupowali wszyscy. Nawet ci mieszkańcy Krakowa, którzy stojąc pod Sukiennicami czekali na lepsze czasy. Kupowali, czytali i czekanie im nie tak się dłużyło.

Dobre były czasy. Nikt nie narzekał, że jesteśmy nudni. Jak przeczytali, co było napisane, zaczynali sylabizować między wierszami, komentować to wysylabizowane, rozprzestrzeniać. Nigdy nie było tyle przepowiedni o bliskiej wojnie angielsko-radzieckiej, jak wówczas w każdy piątek. I do dziś nie jestem całkowicie pewien, czy dlatego, że w piątek ukazywało się „Odrodzenie", czy dlatego, że piątek to po prostu piątek w Krakowie.

Po roku pobytu w Krakowie nie znamy jeszcze tutejszej kabalistyki. Nie tylko kabalistyki zresztą. Nie wiemy, gdzie mieści się magistrat, jakim tramwajem jeździ się na dworzec, albo gdzie jest ulica Grabowskiego. Ten brak orientacji w warunkach lokalnych różni nas od lubliniaków, którzy się w innych miastach osiedlili.

Posiadamy zresztą cechy wyodrębniające nas od najbliższego otoczenia.

W mieście o najbardziej ze wszystkich miast w Polsce rozwiniętym zmyśle koterii, chodzimy jak to się mówi samopas, albo jeden do sasa, a drugi do lasa. Sprawia nam to zresztą dużo kłopotu, chcielibyśmy inaczej, ale ani rusz nie udaje się nam, by istnieć jako grupa. Miałoby się wtedy przyjaciół na każdą potrzebę, klakę na jubileusz, łezkę na pogrzeb. A tak...

Na ulicy Krupniczej, w domu literatów, gdzie się znajdują (najczulsze) nerwy Krakowa, coraz to kogoś zaboli z tego powodu głowa. Ułożą tam sobie wszystko w najlepszym porządku, rozdzielą role, kto o kim i kiedy, a tymczasem zawsze lub prawie zawsze nie wychodzi. Zachowujemy się tak, jakbyśmy nie byli czuli na niuanse i „Stasia", „Tadzia", „Kazia" zmieniamy w rękopisach na Stanisława, Tadeusza i Kazimierza, a niekiedy, o zgrozo, na Barbakan lub Kopiec Kościuszki. Nie mają tam o nas nadmiernie dobrego wyobrażenia, a może już w ogóle zrezygnowali, nie wyobrażają sobie wcale i machnęli ręką. Nie przynoszą już bowiem żadnych deklaracji i nawet nie wiem czy stosownie do udzielonej im kiedyś rady przeobrażają się powoli. Chyba jednak tak, tylko w innym miejscu spowiedź publiczną czynią. Są zresztą wyjątki. Stanisław Dygat pozostał nam wierny i jest nadal niemniej natarczywy co do tego komunizmu, jak na początku. Ale on jest wyjątkowo idealistycznym materialistą.

W mieście o najbardziej ze wszystkich miast w Polsce rozwiniętej p zebie sensacji sprawiamy wciąż zawód za zawodem. Początkowo czytano nas między wierszami. Ale przestano. Przepowiednie się nie sprawdzały, ani wojny, ani rewolucji, ani strajku powszechnego. Nawet generał Wysokolski nie rozwiódł się ze swoją żoną. Okrzyczano nas wreszcie, że jesteśmy nudni. Wciąż literatura, nauka, sztuka. Nic o człowieku, nic o rzeczach ludzkich. Jeden z drugim zaczynają uważać, że jesteśmy do oglądania. Cóż robić? Okazuje się, że człowiek jest przede wszystkim istotą doskonałą i bardziej niż czym innym ciekawi się tym, czy Kott jest żerty i czy sięga po nieprzynależny doń krążek masła, czy Ewa Braun ostatecznie miała, czy nie miała dziecka z Hitlerem. Trapimy się niemożnością dostarczania takich rewelacji i nie zaniechamy wysiłków, aby mimo wszystko jednak. Obiecujemy, że w drugim roku pobytu w Krakowie będziemy wzbudzać dreszczyki bardziej niż dotychczas specjalne. Czytelnicy, którzy nas z jednej tylko strony podglądają, zainteresują się prawdopodobnie wiadomością, że jesteśmy w posiadaniu rewelacyjnych danych, które pozwolą nam ujawnić, kto to jest pani D. D.

Lecz to wszystko i tamto wszystko, myślę, wybaczono by nam chętnie za akt skruchy i przyrzeczenie poprawy. Nie do wybaczenia jest co innego: to, że tak wielką wagę przywiązujemy do mieszkania, które Wacławowi Kubackiemu prawem kaduka odebrano w Częstochowie. W Częstochowie przy ulicy Wolność 22.

Bo my mamy również sensacje, tylko że nie polegają one na anegdocie. Nie są one również li tylko objawem złego humoru.

Wbrew temu, co się z przyzwyczajenia mniema, sprawy kultury, które poruszamy, są nie mniej sensacyjne od tranzakcji walutowych Słowackiego lub od rozmowy z duchem Napoleona. Tylko o wymiar społeczny sensacyjności chodzi. O jej kulturalne konsekwencje.

Tak wobec Krakowa. A w ogóle?

Trzeba to powiedzieć wreszcie: złagodniała nasza powierzchowność. Entuzjazm przywieziony z Lublina promieniuje nadal z naszych twarzy, tylko lekka poprawa w odżywianiu się sprawiła, że wzrok nasz jest mniej fanatyczny. Odżywianiu temu daleko jest niestety do tego poziomu, byśmy byli w stanie — jak chce Adam Ważyk — dążyć do klasyczności. Komu na tym zależy, prosimy bardzo. Klasyczności oddamy wtedy wszystkie najlepsze siły. Tylko obawiam się, że wówczas „Odrodzenie" będzie już tylko do przeglądania, tak jak... ale to przecież jubileusz „Odrodzenia" jest tylko. Doprawdy nie wiadomo czego bardziej pragnąć. Osobiście gotów jestem nawet z paczki UNRRA zrezygnować.

Zbigniew Bieńkowski

Sprawa komentarzy

K. Wyka w swych ciekawych uwagach o „Balladynie" przytacza jedno zdanie z mego studium o Improwizacji, ogłoszonego w mickiewiczowskim numerze „Twórczości". Zdanie to dotyczy komentarzy, jakimi twórcy zwykli bądź poprzedzać pracę artystyczną, bądź uzupełniać jej wyniki: „o ile wypowiedzi ex ante należą na ogół do historii poglądów pisarza, to wypowiedzi ex post należą także do dziejów twórczości". Wyka oświadcza, że jest przeciwnego zdania: „do dziejów twórczości" — powiada — „należą właśnie wypowiedzi poprzedzające dzieło, bo są świadectwem stanów, które były jeszcze zdolne podziałać, ukształtować stworzone dzieło" („Odrodzenie" nr 59).

Wyciągnięcie takiego wniosku z moich przesłanek zmusza mnie do paru wyjaśnień. Zabieram zresztą głos przez wzgląd na tych czytelników, do których „Twórczość" nie dochodzi (a sądzę, że jest takich sporo, bo i ja, choć mieszkam w uniwersyteckim mieście i choć redaktor tego miesięcznika jest moim przyjacielem, nieledwie po każdy numer muszę do Krakowa przyjeżdżać).

Najpierw sprawa zasadnicza. Jaki komentarz należy do twórczości? Odpowiedź chyba jasna. Żaden. Co innego bowiem dzieło, a co innego exposé pisarza — w tym wypadku obojętne czy ogłoszone przed czy po dziele. W przywiedzionej przez Wykę dygresji mojej nie zajmuję się wcale przynależnością komentarza do twórczości, lecz sprawą mniejszej lub większej przydatności krytyckiej autorskiej wypowiedzi. Ponieważ wypowiedź twórcy jako postać autokrytyki jest funkcjonalnie „konkretniejsza", jeśli powstaje po napisaniu dzieła niż przed jego stworzeniem, uważam komentarz ex post za bardziej pouczający. Właśnie w imię tego, że taki komentarz nic już w samym dziele zmienić nie potrafi, a w ten sposób odsłania różnicę między kształtem konkretnym, czyli dziełem, a kształtem idealnym, intencjonalnym, wizją niedokształtowaną lub dotworzoną po napisaniu dzieła. Kontekst mego studium nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Uwzględniałem nawet wypadek najbardziej jaskrawy (nie brak ich w historii literatury powszechnej i w ogóle w historii sztuki), kiedy komentarz nie ma nic wspólnego z samym dziełem. W drugiej części zdania, którego część pierwszą przytoczył Wyka, pisałem wyraźnie: „nawet w wypadku wyraźnej konstrukcji ratowniczej (jaką może stanowić komentarz) autor przedstawia swe dzieło idealiter".

Rzecz prosta, że owo „idealiter" ex post jest bardziej „konkretne", bo poprzedza je dzieło gotowe, niż projekt utworu, który wisi na razie w pustce. Konkretność to zresztą, jak wspomniałem, funkcjonalna, więc specjalnego charakteru i łatwo może być źle zrozumiana, jeśli poruszone przeze mnie zagadnienie będziemy rozważać poza kontekstem lub uogólniać na każdy komentarz ex post. Uwagi moje odnosiły się do komentarzy Mickiewicza zawartych w jego Prelekcjach Paryskich. Osoba poety, charakter i umysłowość są poręczeniem nie tylko stopnia wierności autoanalizy, lecz i rzetelności, zarówno intelektualnej, jak i zwyczajnej ludzkiej wypowiedzi. Różniczkuje to wagę komentarzy nawet jednego rodzaju. Mickiewicz i Słowacki to jednak dwa na słońcach swych przeciwne bogi! Sądzę, że ostrożność trzeba posunąć jeszcze dalej: nie wszystkie komentarze jednego typu i pochodzące od jednego autora są tej samej doniosłości krytycznej. Badacz musi brać pod uwagę wszystkie dostępne mu czynniki kontrolne i sprawdzać od wypadku do wypadku. Zasada ogólna: jak najmniej teorii (w znaczeniu spekulacji) a jak najwięcej konkretów.

Za pewne uproszczenie, dość zresztą istotne, mej myśli uważam odłączenie sprawy komentarzy od systemu krytycznego, który można ustalić na podstawie uwag pisarzy o dziełach innych autorów. Zwłaszcza krytyki pozytywne bywają nie rzadko poszukiwaniem „przyświadczeń". Ten typ krytyki można nazwać komentarzem pośrednim. Za taki komentarz do pewnych zagadnień twórczości Mickiewicza uważam (nie ja sam jeden zresztą) jego niektóre zdania o Dzierżawinie, Garczyńskim i Cieszkowskim i dopiero po omówieniu tych poglądów poety oraz po próbce ich kontroli, na jaką mnie w czasie pisania studium o „Dziadach" drezdeńskich było stać, pozwoliłem sobie na oględne sformułowanie wniosku:

„Mickiewicza często trzeba badać metodą mickiewiczowską, czyli tą samą, którą on stosował w swych prelekcjach w omawianiu innych autorów. Metoda badawcza pisarza bywa zazwyczaj odbiciem własnej twórczości, jakby idealnym jej schematem... Konfrontacja dzieła z wypowiedzią ujawnioną przed powstaniem dzieła niewiele nam da; nawet ewentualne odchylenie od planu nie powie nam, o ile autor zmienił zdanie, a o ile dokonało tego za niego samo dzieło, które ma przecież także swoje własne wymagalniki wewnętrzne, a te mogą być w niezgodzie z teoretycznymi poglądami autora". Zdaje mi się, że komentarz ex post tę niepewność usuwa: autor albo się do swego dzieła przyznaje, albo się od ojcowstwa stara wymigać.

Mniemam, że zjawisko niedosytu twórczego, czego przejawem jest komentarz ex post, może dać badaczowi materiał ciekawszy do studiów niż równie częste zjawisko projektowania. Oba zjawiska są modyfikacją ogólnego prawa psychologicznego prospekcji i retrospekcji, które w uogólnieniu przednaukowym występuje podobno w micie o Prometeuszu i Epimeteuszu. Być może, iż bardziej twórczy, polotny, pełen utajonych możliwości kształtowania jest plan twórcy, czyli komentarz ex ante (aspekt prometejski w symbolicznym odczuciu tego pojęcia). Krytykowi jednak najczęściej przypada rola bardzo wewnętrzna i nieefektowna, Epimeteusza czyli tego, który patrzy za siebie, to znaczy na dzieło dokonane. Poeta dający komentarz ex post jest też Epimeteuszem, czyli w tej funkcji jest w wyższym stopniu krytykiem swego własnego dzieła niż jako żywy prolog. Stąd można by mówić, że komentarz ex post jest jakby z natury swej bliższy krytyce, a w następstwie tego faktu przydatniejszy dla badacza. Powodem głównym nieporozumienia jest użycie przeze mnie i przez Wykę tego samego wyrazu „twórczość" w różnym znaczeniu. Wyka ma na myśli dzieło konkretne. Ja zaś pisząc o przynależności komentarza do „dziejów twórczości", użyłem tego terminu w odmiennym znaczeniu, co do którego samo już założenie mej rozprawy nie powinno było budzić wątpliwości.

Poza tym nie widzę zasadniczej różnicy między naszymi stanowiskami. Najlepszym tego dla mnie dowodem jest fakt, że Wyka przeciwstawiwszy się rzekomo mojemu zdaniu wyciąga z późnego komentarza Słowackiego do „Balladyny" wnioski idące po linii mego stwierdzenia.

Wacław Kubacki

Konkurs na sztukę

Związek Zawodowy Literatów Polskich — Oddział Śląski w Katowicach w porozumieniu z Biurem Informacji i Propagandy Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego ogłasza konkurs na jednoaktowy utwór sceniczny dla świetlic górniczych.

Tematyka utworu dowolna, pierwszeństwo jednak będą miały utwory związane z życiem i pracą górnika.

Utwory są przeznaczone dla amatorskich zespołów dramatycznych. Przy opracowywaniu należy uwzględnić skromne stosunkowo możliwości scen świetlicowych.

Prace nadsyłać należy do dnia 15. IV. 1946 r. do Związku Zawodowego Literatów Polskich — Oddział Śląski w Katowicach, ul. 3-Maja 36a. Praca winna być opatrzona godłem. Dołączyć należy w dobrze zaklejonej kopercie imię, nazwisko oraz dokładny adres autora.

W skład sądu konkursowego wchodzą: dr. Jerzy Koller, red. Wilhelm Szewczyk, Zdzisław Pyzik z ramienia Zw. Zaw. Literatów oraz redaktor czasopisma „Górnik" — Mieczysław Markowski.

Za najlepsze prace sąd konkursowy przyzna nagrody ofiarowane przez Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego: pierwsza — 15 000 zł, druga — 10 000 zł, trzecia — 5000 zł.

Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród lub przyznanie tylko części nagród.

Nagrodzone sztuki zostaną zakupione przez CZPW do wyłącznego użytku świetlic górniczych.

CZPW zastrzega sobie prawo zakupu innych, nienagrodzonych prac. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w dniu 1 maja 1946 r. w katowickiej prasie codziennej oraz w czasopismach „Odra" i „Górnik".

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Jeszcze jedna cyganeria

Zamieszczona niedawno w „Kuźnicy" gawęda Stefana Otwinowskiego „Inna cyganeria" o przedwojennym klubie „S" przyniosła mi garść wspomnień o cyganerii następnej generacji literackiej.

I ta wyglądała inaczej. Inne bo też były czasy, w których powstała. Myślę mianowicie o środowisku warszawskiej młodzieży literackiej lat okupacji. Ileż przyczyn złożyło się, by ją skomplikować! Łamanie się tradycji i form pisarskich, ostro zarysowujące się przemiany społeczne, ucisk hitlerowski i cała problematyka wojny. Nie dziwić się więc, że oprócz wódki płynęła krew, sprawy wielkie śmiesznie plątały się z małymi, wzniosłość mieszała się z pozą, a awantura z bohaterstwem.

Środowisko, o którym chcę mówić, wywiodło się z tajnego uniwersytetu warszawskiego — złożone było przeważnie ze słuchaczy polonistyki, filozofii, socjologii i prawa.

Dobrze to świadczy o żywotności naszej kultury, że prężność i ambicja nie pozwoliły tym młodym ludziom ograniczyć się do działalności wojskowej i politycznej. Powstało parę periodyków literackich, utworzono teatr konspiracyjny, prawie co tydzień odbywały się dyskusje, koncerty lub wieczory autorskie.

Sympatyczną, z młodości płynącą cechą była rozmaitość grupy. Spotykali się w niej i katolicy uniwersaliści ze „Sztuki i Narodu": Bojarski, Trzebiński, Gajcy (Topornicki), Stroiński (Chmura), Ziembicki — i wielbiciele nieokreślonej bliżej „krzepy" i „pięści" z „Dwigarów" — i socjalistyczna „Droga" — i utopijny komunista Tadeusz Borowski — i peperowcy: malarze, Jerzy Kujawski i Arkadiusz Żurawski, student socjologii Bronisław Wihan, muzyczne małżeństwo Kreutzów — i wreszcie, zwany przez grupę Bratnego z odrobiną lekceważenia i odrobiną zazdrości: „ostatnim humanistą".

Dzieliły nas różnice ideowe, ostre starcia w dyskusjach. Łączyła szczera przyjaźń osobista, wiele przegadanych i przepitych wspólnie nocy, braterstwo broni i nienawiść do Niemców. Więzy były bardzo silne. Łączyła nas jeszcze jedna wstydliwa rzecz — entuzjazm dla sztuki. Fanatyczny, choć pokrywany nonszalanckimi minami. Pragnęliśmy oczywiście sztuki rewolucyjnej, najtrudniejszej. Od rozmów o wilczych dołach światopoglądu faszystowskiego przechodziło się do równie namiętnych rozważań o poezji nowatorskiej. Bojarski mówił o Eluardzie i Apolinairze, Borowski o Dantem i Homerze. Płynęła noc okupacyjna za oknem. Zza okna słyszało się kroki esmanów, bo zbieraliśmy się w drewnianym kantorze na Skaryszewskiej, tuż pod bokiem sławnej fabryki, gdzie koszarowano złapanych na roboty do Rzeszy. Borowski miał posadę stróża nocnego w składzie materiałów budowlanych na tej ulicy.

Ta pasja do rzeczy — jakże odległych od rzeczywistości wojennej — była jeszcze jedną formą protestu przeciw dziejącemu się barbarzyństwu. Nikt tego tak wówczas nie nazywał, ale tkwiło to we wszystkich głęboko. Niczego bowiem nie obawialiśmy się tak, jak patosu. O „tych rzeczach" mówiło się najchętniej tonem Gałczyńskiego czy Gombrowicza. I przyznać trzeba, że „społeczna" twórczość wspomnianych pisarzy dopomogła nam do zwalczenia w sobie lęku i odrazy do świata. Przecie dopiero wchodziliśmy w życie, a przywitanie nie było zwyczajne. W teatrze wystawiało się więc „Wariata i zakonnicę" Witkacego, „Mężczyznę w damskim kapeluszu" Gałczyńskiego, inscenizację fragmentów „Ferdydurke", „Orfeusza" Cocteau, „Fedrę" Kosińskiego. Przedstawienia były płatne. Dochód szedł nie na żaden wzniosły cel — na „popijochę" dla zespołu.

Anormalne warunki „startu życiowego" odbijały się jednak często tragicznie. Ukryte na dnie duszy nihilistyczne zwątpienie u jednych, u drugich kondotierstwo — iść tam, gdzie więcej broni, gdzie lepsze warunki awanturniczego wyżycia się. Prowadziliśmy w czasopiśmie „Droga" dyskusję na temat niebezpieczeństw wychowania rewolwerowego. W recenzji ze znanego wydawnictwa „Kamienie na szaniec", apoteozującego bezkrytycznie młodych bojowców, Karol Lipiński, redaktor pisma młodzieży socjalistycznej „Płomienie", pisał, że taka szkoła wychowa jedynie sprawnych urzędników kolonialnych.

Wróćmy jednak na teren literatury. Dodatnim znamieniem był brak jakiegokolwiek klikarstwa.

O tomie wierszy Baczyńskiego napisałem złośliwy pamflet. Przez rok nie podawaliśmy sobie rąk. Potem znowu wróciliśmy do najserdeczniejszej przyjaźni. W Baczyńskim, bodaj czy nie najwybitniejszym poecie całej grupy, raziła nas wszystkich postawa „spokojnego anioła", patrzącego jakby z dalekiego i wyniosłego wzgórza na dziejące się sprawy. To samo drażniło nas również u wielu wybitnych starszych pisarzy. Rzeczywistość tak brutalnie kopała butem w twarz, że trudno było uwierzyć w szczerość doraźnej mądrości pojmującej i rozgrzeszającej czasy. Wykładnikiem nerwowości zżerającej wszystkich był czyn jednej z koleżanek, słuchaczki tajnego PISTu. Po pierwszych egzekucjach publicznych zgłosiła się sama na aleję Szucha, by wytłumaczyć gestapowcom, że to jest już zbyt potworne, że to do niczego nie doprowadzi, że to nie może się dziać.

Nerwowość połączona z żyłką ryzykanctwa zaprowadziła paru poetów pod pomnik Kopernika w dniach oficjalnych obchodów ku czci „niemieckiego astronoma". Poszli złożyć manifestacyjny wieniec kwiatów od młodzieży polskiej. Skończyło się śmiercią Bojarskiego i aresztowaniem Chmury.

Szukaliśmy podpory u starszych i uznanych pisarzy. Nie tylko snobizm, ale i chęć nauczenia się wiodła nas do nich. Wielu zresztą wystrzegało się nas jak ognia, jako nieodpowiedzialnych awanturników. Urządzali nam jednak swoje wieczory: Andrzejewski, Kaden-Bandrowski, Goetel, Iwaszkiewicz, Allan Kosko, Sergiusz Kułakowski, J. N. Miller, Miłosz, Piętrzak, Rusinek, Stachowski, Świrszczyńska, Zagórski, Zawieyski i inni. Wiele dyskusji odbyliśmy z nieżyjącym Irzykowskim. Z anielską dobrocią i cierpliwością traktował nas opiekun uniwersytecki prof. Julian Krzyżanowski. Otwarte gościnnie drzwi zastawaliśmy zawsze w domach Andrzejewskiego, Feliksa Gwiżdża, Alfonsa Karnego, Witolda Rudzińskiego, Leona Schillera, docent Szmydtowej, Zagórskiego, Zawieyskiego. Poeta Józef Stachowski wyjeżdżając na wieś zostawiał nam swoje mieszkanie do użytku. Tam odbyło się słynne powitanie Chmury-Stroińskiego po wyjściu z Pawiaka. Tam witaliśmy gości z Krakowa: Wykę i Kwiatkowskiego.

Dbaliśmy bowiem o łączność z innymi środowiskami. Sam jeździłem parokrotnie pod Wawel na kontakty i rozmowy z Tadeuszem Kwiatkowskim, reżyserem Kantorem, Mieczem Porębskim...

Pamiętam jak marzyliśmy z wydawcą „Drogi", Jerzym Wilczyńskim, o zrobieniu nakładu zbiorowi Przybosia „Póki my żyjemy". Kursował wówczas w 10 egzemplarzach przepisanych ręcznie przez autora. Nie można się jednak było doszukać tego Przybosia. „Kontakt do niego" miał podobno Zbigniew Bieńkowski, ale ten też nic, tylko się ukrywał.

Całe to dziwne życie nie obywało się oczywiście bez sytuacji wysoce humorystycznych. Celował w nich magistrant filozofii, recytator naszych poezji i złoty kolega Tadeusz Sołtan, zwany powszechnie Sołtasiem. Obdarzony niewątpliwym darem słowa miał manię zabierania głosu w każdej dyskusji. Ciszę po referacie uważał za milczącą prośbę w swoją stronę. Pamiętam prelekcję wygłoszoną przez pewnego przedstawiciela kół hoene-wrońskistów. Sołtaś przychodzi dosłownie na pięć minut przed jej końcem, do tego jest zalany definitywnie. Po referacie nikt się nie odzywa. Ale Sołtaś już chrząka, choć widzę, że nie ma jeszcze pojęcia co będzie mówił. Zaczyna jednak swym wibrującym od wzruszenia, aktorskim głosem: „A więc kolego powiedzieliście: absolut, powiedzieliście: miłość, powiedzieliście: prawda. Ale" — tu głos mu się załamał — „cóż to jest prawda, kolego?" Ktoś nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Sołtaś podnosi na niego oczka malutkie i pyta z wyrzutem przeogromnym: „I was takim śmiechem to napawa?"

Na innym znowu odczycie doszło do wielce zabawnej sprzeczki między pewnym sędziwym profesorem uniwersytetu a pewnym sędziwym akademikiem literatury nad kwestią, jaki sąd skazał Sokratesa: skorupkowy czy nie skorupkowy?

Nieodzowną megalomanię ilustruje inna historyjka. Zaprosił mnie kiedyś do baru malarz Arkadiusz Żurawski. W parę godzin potem spotykam Borowskiego i mówię mu: „Postawił mi dziś wódkę najzdolniejszy młody artysta w Warszawie!" Borowski, chcąc odgadnąć intencję, patrzy na mnie podejrzliwie dłuższą chwilę i powiada: „Przyznaj się, sam sobie postawiłeś".

Robiliśmy też kawały zgoła głupie, jak na przykład telefon o czwartej nad ranem do Miłosza z natarczywą prośbą, by wytłumaczył, jakiej właściwie ideologii służą jego wiersze.

Niechaj wszyscy pisarze, którym dokuczyliśmy, zechcą nam to zapomnieć! Niech zapamiętają to, co chcieliśmy dać z siebie najlepszego: wspomniane już na początku czasopisma i wydane przeważnie na powielaczu tomy poezji: „Wiersze wybrane" Bugaja—Baczyńskiego, „Gdziekolwiek ziemia" Borowskiego, „Widma" i „Grom powszedni" Topornickiego—Gajcy, „Okno" Chmury—Stroińskiego, „Pogarda" Bratnego (druk!), „Schyłek Amonitów" Sosnowskiej—Pohoskiej, arkusze poetyckie „Drogi" — Baczyńskiego, Borowskiego i podpisanego.

Cyganeria nasza miała w sobie coś z porywów filomackich i coś z dekadentyzmu przybyszewszczyków. Który nurt był głębszy — nic mnie sądzić. Odpowiedzieli na to — Wacek Bojarski, Andrzej Trzebiński, Karol Lipiński, Bronek Wihan, Krzysztof Baczyński, Tadeusz Gajcy, Staszek Gromulski, Wojtek Mencel, Zdzisław Stroiński, Arkadiusz Żurawski, Basia Baczyńska, Ewa Grocholska, Ewa Pohoska, Alinka Sołtanowa.

Zginęli na Pawiaku, w obozach koncentracyjnych, w powstaniu warszawskim. Zginęli śmiercią — przestańmy się żenować — bohaterską.

Stanisław Marczak-Oborski

Sprawa Rudnickiej

Cóż, spełnił się mój horoskop. Samorodna poetyckość, która nas uderzała w prymitywnych wierszach robionych przez chłopkę Stefanię Rudnicką, nie wytrzymała próby zetknięcia się z wierszami „uczonymi". Rudnickiej spodobały się gładkie wierszyki z cacanymi rymkami o rytmie jak kołysanka, naiwnej kobiecinie zaimponowała tandeta i nuże ją naśladować. Ale nawet Kurasiem bez dłuższej praktyki zostać nie można. Rudnicka — z niecierpliwości, a może i łasa na pieniądze — postąpiła brzydko: popełniła plagiat. Pewnie nie zna tego słowa i nie pojmuje, że przypisanie sobie cudzego utworu jest taką samą kradzieżą, jak przywłaszczenie jakiegokolwiek materialnego przedmiotu. Przepowiadałem, że w najlepszym, a raczej w najgorszym razie czeka ją los Kurasia, ale ona — śmiesznie ambitna — od razu, zamiast naśladować — **przepisała** z takiego miejskiego Kurasia. Tego nie przewidziałem. Splagiowany autor, uszczęśliwiony i dumny, rozesłał na wszystkie strony świata tryumfalny komunikat — manifest, którego główną treścią jest objawienie wszystkim, jaką to on jest znakomitością, skoro go plagiuje Rudnicka, uznana za samorodną poetkę. Ale my chwaliliśmy Rudnicką dawną, nie mającą fałszywych ambicyj „literackich", podobała nam się chłopka odziana w prosty i piękny samodział, a nie służąca miejska w paskudnym znoszonym żakiecie i w tiurniurze po pani Dulskiej...

Folklor zamiera, twórczość prymitywna jest nie do podtrzymania i hodować jej nie można. Stwierdziłem to w owym artykule w „Odrodzeniu", w którym zwróciłem uwagę na Rudnicką. Nie ma sensu ani martwić się z tego powodu, ani obmyślać środków ochronnych. Nie można w wieku radia tworzyć rezerwatów kultury fujarki i snycerskiego kozika. Próby ożywienia samorodnej twórczości ludowej, czynione np. w Związku Radzieckim, też nie dają rezultatów niezawodnych. Żyją jeszcze w Rosji stare autentyczne bajarki, opowiadaczki ludowych podań, bylin i klechd. Ale są to już formy skostniałe i, jak mi opowiadał pewien krytyk rosyjski, bajarka taka może tylko powtarzać w kółko jedno i to samo. Gdy usiłuje improwizować na nowy jakiś temat, posługuje się gotowymi już obrazami-schematami, tak, że taka nowa opowieść niewiele ma wspólnego z samorodnością i autentycznością folkloru. A cóż dopiero u nas, gdzie pieśń i baśń ludowa nie stworzyły tylu bogatych form co w Rosji i wcześniej zamarły. Rzadkie więc i spóźnione okazy takiej ludowej samorodności poetyckiej jak Rudnicka skazane są w zetknięciu z formą literacką technicznie gładszą, choć pozbawioną wartości artystycznej, na naśladownictwo i — plagiowanie.

Czy jednak nie można było ocalić tej odrobiny poezji, która dawała wartość prymitywom Rudnickiej? Czy Stefania Rudnicka musiała przejść ewolucję od niezdarnych ale poetyckich prymitywów do przepisywania tandetnych jakichś piosenek? Czy działa tu to samo prawo, które czyni, że pieśni ludowej na wsi prawie już nie słychać, że trzeba ją tam sztucznie z miasta zaszczepiać, posyłając chórom wiejskim opracowaną na głosy? Pastuch i parobek wiejski — tak z całego serca, z ochoty — rzadko tylko zaśpiewa śpiewkę ludową. Woli idiotyczne teksty do melodyj tang i fokstrotów. Dzieje się to nie tylko wbrew zacofanym apostołom wiejskości jak Niećko, ale także wbrew słusznemu zgorszeniu poetów. Wieszczami, którzy błądzą pod strzechami jak szpetne nietoperze ciemnoty estetycznej, są, jak wiadomo, Własty i Harrise, też podobno plagiatorzy. Melodia piosenki o „mojej Warszawie" jest skradziona — jak zapewniają muzycy — z jakiegoś niemieckiego przeboju kabaretowego.

Sądzę, inaczej niż Lichański, że wyzwolona przez reformę rolną wieś polska — od razu, bez stopni pośrednich, może dojść do odczuwania i rozumienia prawdziwej sztuki. Trzeba tylko z taką sztuką do chłopa iść. Trzeba mu udostępnić za pośrednictwem bibliotek arcydzieła literatury, trzeba mu dać dobrą muzykę, trzeba stworzyć wystawy ruchome z wartościowymi dziełami plastyki. Zamiast tego zaśmieca się jego smak specjalnie przyprawionymi odpadkami dawno przeżutej sztuki, wydając dziecinne i zawstydzające „Świetlice". Ale zaczyna się już chłopa traktować jako dorosłego odbiorcę sztuki. Dochodzą mnie słuchy o zespole muzycznym, który jeździ po wsiach dając koncerty muzyki klasycznej. Pewien pianista występuje po wiejskich domach kultury z koncertami Chopina i chłopi — słuchają. Posłyszą raz, drugi — i zrozumieją, nabiorą smaku, stracą ochotę do szmiry i tandety.

Sądzę więc, że i taki samorodek jak Rudnicka mógłby się był ostać i ocalić dla poezji, ale trzeba by na to specjalnych warunków. Gdyby Rudnicka obracała się w kręgu prawdziwych poetów, gdyby jej doradcą literackim pozostał, tak jak nim był na początku, Jastrun, być może, że po latach obcowania z poezją, trzymana z dala od poetyckich falsyfikatów — doszłaby do jakiegoś własnego wyrazu. Jeśli jednak Rudnicką traktować będziemy przykładowo, jako zjawisko socjologiczne a nie indywidualne, to wniosek ze „sprawy Rudnickiej" jasny: o samorodnej twórczości prymitywnej mówić już nie można. Chłop nie może też jeszcze dać dziś wartościowej poezji artystycznej. Dopiero nowe pokolenie chłopów, pierwsze po reformie rolnej, wyda twórcze talenty poetyckie, które w dziejach poezji narodowej stworzą nowy okres.

Julian Przyboś

Konkurs na poetycki tekst piosenki

W celu podniesienia literackiego poziomu piosenki Polskie Radio ogłasza konkurs na poetycki tekst piosenki.

Temat dowolny. Pożądane są teksty piosenek o Warszawie.

Nagrody: I — 10 000 zł, II — 5000 zł, III — 3000 zł, IV, V i VI po 1000 zł.

Ponadto Polskie Radio zastrzega sobie prawo zakupu i pierwszego wykonania piosenek wyróżnionych.

Termin nadsyłania tekstów: 15 marca 1946 r.

Teksty prosimy nadsyłać pod adresem: Polskie Radio, Warszawa, Wydział Literacko-Teatralny, Al. Stalina nr 31.

Teksty winny być zaopatrzone w godła. To samo godło prosimy wypisać na dołączonej zapieczętowanej kopercie, w której należy umieścić kartkę z nazwiskiem i adresem autora.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w dniu 15 kwietnia 1946 r.

Opracowanie muzyczne nagrodzonych i wyróżnionych tekstów zostanie powierzone najwybitniejszym polskim kompozytorom.

W teatrach krakowskich

„JASON"

Wychodziliśmy z premiery „Jasona" z uczuciem zdziwienia. Niezaspokojeni. Nie pierwszy to zresztą raz w takim nastroju umysłu opuszczamy teatr współczesny. Czym nas właściwie karmią? O co chodzi kierownictwu? Teatr, do którego, porzucając inne ważne zajęcia, przychodzi się, jak do sądu po ocenę rzeczywistości przeszłej i nadchodzącej, prawi nam na swej kazalnicy bajeczki o niebieskich migdałach. Cóż nas obchodzi maniactwo amerykańskiego konstruktora, cóż nas obchodzą pokonane już dzisiaj tragedie francuskiego, szwedzkiego, czy amerykańskiego małżeństwa? Czy nie ma sztuk współczesnych w pełnym tego słowa znaczeniu, czy nie ma sztuk o ludzkiej, naprawdę ważnej problematyce? Są. Nawet Swinarski ma cztery sztuki poważniejsze od „Jasona". I Swinarskiego interesują historyczne sprawy związane z polskim morzem. I Swinarski w dalekim greckim, starożytnym świecie potrafi znaleźć naprawdę ludzkie, budujące sprawy. „Jasona" napisał trochę tak, jak się pisze wprawki techniczne. Dla muzyka, czy pejzażysty ma to — być może — sens zasadniczy. W dramaturgii, w literaturze — nic to nie znaczy. Wprawki sobie, a sprawa literacka sobie. Nie można zdobytej wprawy stosować czy raczej przenieść do pracy serio literackiej. Styl jest instrumentem integralnie związanym z przeżyciem twórczym... I dalej: jeśli nie ma przeżycia, nie ma problemu — nie ma aktu twórczego. I dialog i nawet dowcip — rzekomo przypadkowy, jeśli są prawdziwe — są funkcją tego aktu.

Jason ze swą wątłą problematyką zazdrości i zemsty jest koncepcją całkowicie fikcyjną. Jak się to mówi — załóżmy sobie. Załóżmy sobie, że pewien mąż cierpi zdradę żony w sposób specjalnie wyrafinowany. Ponieważ cierpi w sposób specjalnie wyrafinowany, więc i jego zemsta będzie specjalnie wyrafinowana. Wyobraźnia człowieka — logika, nie artysty — który sobie zakłada podobne rzeczy, będzie na pewno infantylna, związana ze sztafażem technicznych i geograficznych wyobrażeń. Jason — jak w amerykańskim filmie — jest wybitnym konstruktorem, buduje samolot rakietowy, w tym samolocie udaje mu się uwięzić i żonę i kochanka. Przenosi samolot na bezludną wyspę i syci się swą władzą nad niewiernymi. Żeby podwójny maniak okazał się jednak człowiekiem, musi gdzieś w końcu sztuki naprawdę zwariować. To by mogło być nawet o tyle o ile przekonywające. Może rzeczywiście amerykańscy konstruktorzy samolotów rakietowych muszą wariować aż w taki sposób. Sztuka początkowo kończyła się obłędem i samobójstwem Jasona; kończy się i ludzie ubawieni amerykańskim filmem wracają do domu w pełnym i słusznym poczuciu wyższości swej europejskiej kultury. Niektórzy, malkontenci wzdychają: ci sobie tam w Ameryce wariują!

Teatr Stary postanowił uspołecznić, umoralnić obłęd Jasona. Nie może wariat strzelać sobie w łeb (kto ma sobie strzelać?). Nie wolno w ogóle człowiekowi z miłości, z zazdrości wariować. I obłęd i samobójstwo jest niespołeczne. Słusznie. Tylko i sztuka Swinarskiego, żeby nie wiem co z nią robić, nie będzie nigdy ani społeczna, ani umoralniająca. Rozwiązanie, że uwodziciel jest nie tylko uwodzicielem (chociaż także uwodzicielem), ale przede wszystkim szpiegiem, zaskakuje widzów — nie mniej od następnego rozwiązania, że szpiega zabijać nie wolno. Trzeba go oddać trybunałowi międzynarodowemu? Odesłać do Norymbergi?

Nie. Na pewno w sztuczny, ad hoc preparowany sposób nie da się dramatu umoralnić. Mówmy poważnie: Moralność społeczna dramatu jest jego krwią, jest jego życiem. Transfuzja się nie uda. Imputacja podkreśli kalectwo. Program ideowy trzeba komponować z pomocą repertuaru, a nie na przypadkowym repertuarze. Pozycje kasowe — wyraźne, bezpretensjonalne mogą podtrzymywać trudniejszy repertuar, ale skoro już ten dochodzi do głosu, niech dojdzie w sposób niefałszowany, najlepszy. „Roxy" powinna okupić najlepszą, a nie najbłahszą sztukę Swinarskiego, Flukowskiego i innych.

Jest jednak w sztuce postać, która — gdybyśmy nawet nie byli skądinąd przekonani o talencie dramatopisarskim Swinarskiego — przekonałaby nas o możliwościach postaciotwórczych autora. Tą postacią jest szofer Oliver. Gra go **Madaliński**. I gra doskonale, po ludzku, z ekspresją trzymaną na wodzy. Jest to sposób, chciałoby się rzec, jaraczowski. **Białoszczyńskiemu** można śmiało powierzyć każdy najtrudniejszy intelektualnie tekst.

W sposób raczej poprawny zagrali swoje niełatwe, nie bardzo ludzkie role **Martynowska i Śliwierczyński**. Sceny zbliżeń erotycznych należałoby podnieść groźniejszą namiętnością. I tę sprawę podporządkować całości — trudno — neurastenicznej. Albo też stosować na bladym tle także groźnej niewiedzy. Dekoracje **Kosińskiego**, konstruktywne, pomysłowe — nie grały z braku perspektywy.

Nad Teatrem Starym nie od dziś i nie tylko nad dekoracjami zawisło jakieś nieporozumienie. Z trudem którakolwiek sztuka pozostaje w pamięci. I stan ten — zdaniem moim — trwać będzie tak długo, dopóki w wysiłku nad repertuarem nie przejawi się pozytywna, twórcza, jednolita idea. Zarówno społeczna jak i artystyczna. Teatr każdym przedstawieniem musi czegoś chcieć, o coś walczyć — nie tylko o kasę.

Teatr dramatyczny walczący musi być sprzymierzeńcem walczącej literatury. Prędzej czy później zwróci się do niej po opiekę. Drugiej połowy sezonu równie chaotycznej nie chcemy życzyć teatrowi, który we fragmentach ma przecież już swoje osiągnięcia.

Stefan Otwinowski

POEZJA STAROPOLSKA W STARYM TEATRZE

Poranek poezji staropolskiej ściągał przez dwie niedziele do dużej sali Starego Teatru tłumy publiczności. Było to bardzo krzepiące, ten zapał licznej młodzieży garnącej się, aby posłyszeć najlepsze utwory naszych wielkich mistrzów XVI, XVII i XVIII wieków, od Kochanowskiego do Krasickiego. Słowo wstępne dr Leśnodorskiego zsumowało pozycję naszej poezji na szerokim tle ówczesnego dorobku literatur europejskich. Prelegent nie pominął ani jednej ważniejszej cechy charakteryzującej twórczość tych czasów, wypunktował starannie i z polotem wszystkie wartości w niej tkwiące.

Wielu z wykonawców przygotowało się bardzo starannie, odczuwało się w zespole recytujących pewne napięcie i nabożne skupienie. Gallowa, Kruszewska i Zielińska z iskierką uśmiechu w oku i wyczuciem niuansów wypowiedziały swoje utwory. Pewne dyskretne przy tym zagrywanie u Zielińskiej doskonale uzupełniło podawany tekst. To samo da się powiedzieć o Fuldem; przedni, staropolski humor promieniował z całej jego postaci, nie tylko z tego co mówił.

Inscenizacja „Sobótek" była ujęta prosto i trochę bez wysiłku przygotowana. Najlepszą jej stroną to podanie samych tekstów przez Kruszewską, Kiernikównę, Szumańską, Zielińską i in. Pląsy i chóralny śpiew miały w sobie wiele z uroczego przedstawienia szkolnego. Takie ładne i miłe dziewczyny, przy czym niektóre z nich już nawet mężatki...

Z tłumnego udziału publiczności widać, jak podobne imprezy są na czasie, jak starannie obmyślany poranek potrafi wzbudzać entuzjazm. Starzy Polacy XVI, XVII i XVIII wieku zadziwiają ekonomią w użyciu słowa, celnością porównania i metafory. Są rzeczowi, zwięźli, pełni humoru, o ostro zarysowujących się sylwetach twórczych. Kochanowski jest najbogatszy: i śmiech, i łzy, i najgłębsza rozpacz nie są dlań obce — wszystko potrafi wypowiedzieć najpełniej i wzniośle po ludzku. A Zimorowicz? Arcydzieła delikatnej uczuciowości, cała gama nastrojów młodych serc. I Krasicki też nie zawiódł. Zręczny dworak w XVIII w. i w dwudziestym dowiódł swej giętkości: Andrzeja, szczęśliwego zdobywcę uroczej Ireny, ukrył pod imieniem Arysta i tak go coram publico przeprowadził przez gmach Starego Teatru. A szambelan Trembecki w bajeczce o wilku i jagnięciu, czy nie dał wielkiego dowodu znajomości arkanów polityki międzynarodowej? Nie darmo tłukł się całe życie po dworach możnych. „Wstęp do bajek" Krasickiego brzmiał może jeszcze mocniejszym echem na sali. Poczciwi starzy Polacy! Nie byli oni tacy głupi. Dużo wiedzieli, a mało potrafili zrobić. To też nie jest takie łatwe.

Stefan Flukowski

PRAPREMIERA W TORUNIU



Zbigniew Salaburski (Tomasz Zan) i Jerzy Rakowiecki (Wawrzyniec Puttkamer) w sztuce Krystyny Grzybowskiej „Promieniści", wystawionej przez Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu.

W związku z dziewięćdziesiątą rocznicą zgonu Adama Mickiewicza wystawił Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu, w sobotę dnia 19 stycznia sztukę autorki krakowskiej Krystyny Grzybowskiej „Promieniści".

Temat sztuki stanowi miłość Mickiewicza do Maryli i udział poety w związkach filareckich, intencją zaś utworu jest oczyszczenie Wereszczakówny z zarzutów płochości i wyrachowania, które rzekomo skłoniły ją do mariażu z bogatym Puttkamerem. Ona jest główną bohaterką tego utworu, daremnie wyczekującą na oficjalne oświadczyny poety, kochającą go nawet po swym ślubie z postępowym hrabią. Była to kobieta inteligentna, przejęta nowymi ideami, emancypantka i chłopomanka, która... nie paliła cygar jak George Sand, lecz na starość paliła fajkę, czule wspominając niewiernego kochanka.

Tytuł sztuki nie odnosi się bezpośrednio do znanego stowarzyszenia młodzieży wileńskiej w latach młodości Mickiewicza. Jest on wzięty ze słownictwa Tomasza Zana, który przez promienistość rozumiał dążenie do doskonałości.

Sztuka nie jest dramatem. Jest to raczej obraz dramatyczny z rozwlekłą nieco akcją, odznaczający się jednak miłą nastrojowością, dobrze nakreślonymi i uplasowanymi postaciami. Autorka wobec przeszłości zachowuje możliwą wierność, daje jednakże coś więcej niż sceniczny reportaż.

Postać Mickiewicza nie występuje na scenie. Zjawia się tylko na chwilę jak cień. Mimo to on jest osią sztuki, koło której obraca się cały świat filarecki.

Rzecz dzieje się w latach 1820—1823. Akt pierwszy w końcu lata 1820 na wsi w Tuhanowiczach, akt drugi w zimie roku 1821 w Wilnie, akt trzeci dnia 22 października 1823 na wsi w Bolcienikach.

Przewijają się na scenie znane z dziejów naszej literatury osoby, jak Edward Odyniec, Tomasz Zan, Wawrzyniec Puttkamer, Jan Śniadecki, Ludwika Śniadecka, a każda z nich posiada swe właściwe oblicze fizyczne i psychiczne.

Teatr Ziemi Pomorskiej wystawił „Promienistych" z ogromnym pietyzmem, nie szczędząc pracy ni kosztów. Rzecz wyreżyserował starannie **Willam Horzyca**, a wspaniałe dekoracje (zmieniane w każdym akcie) stworzył artysta-malarz **Torwirt**. Opracowanie muzyczne spoczywało w ręku **A. Gajdeckiego**. Niezwykle liczny zespół aktorski (20 osób) wystąpił w kosztownych stylowych kostiumach, specjalnie dla tej prapremiery szytych w pracowni teatru. Poza zespołem aktorskim na scenie znalazł się tłum statystów, co widowisku dodało ruchu i malowniczości.

Z wykonawców na czoło wysunęła się **Irena Maślińska** w roli Maryli. Utalentowana artystka świetną swą grą poważnie przyczyniła się do powodzenia „Promienistych".

Sztuka weszła pierwszy raz na scenę właśnie w teatrze toruńskim, toteż na uroczystą prapremierę przyjechała z Krakowa autorka, która przy okazji wygłosiła na „czwartku" Klubu Literacko-Artystycznego prelekcję pt. „Obrona Maryli".

Mieczysław Dereżyński

PRZEGLĄD PRASY

Henri Matisse, gdy go zapytano o stosunek sztuki nowoczesnej do człowieka, odpowiedział, że **ludzkie** jest wszystko, co artysta tworzy. Cóż bardziej przekonywa — dodał — że artysta jest czuły, nad to, w jaki sposób przedstawi krajobraz, obłok, drzewo?

Słuszność tej prostej odpowiedzi Matisse'a łatwo sprawdzić na materiale nie wzbudzającym wątpliwości, **już** historycznym. W Luwrze, w sali przylegającej do zępresjonistów (jak mówią tamtejsi gardieni), znajduje się obraz Puvis de Chavanne'a przedstawiający rybaka, którego wygląd nędzny i stroskany opisuje wymownie i współczująco Żeromski w „Walce z szatanem". A obok zaraz krajobrazy Pissarra. Każdy bezstronny, nawet nie nadzwyczajnie uwrażliwiony rozpozna czułość i ludzkie uczucia w barwie kwitnących jabłoni, wyrażone o ileż celniej i **bezpośredniej** niż w postaci rybaka.

„Przegląd Artystyczny" (nr 2 za luty) dotyka w kilku miejscach istotnych spraw sztuki nowoczesnej. A przede wszystkim ukazuje drogę już przebytą przez malarstwo, drogę, z której nie ma odwrotu, gdyż dokonania świadczą o prawidłowości jej kierunku.

Znakomity pisarz szwajcarski **Ramuz** w artykule (tłumaczonym przez **Stefana Flukowskiego)** o Cézannie wypowiada kilka uwag, które przymierzone sprawdzą się i w innych dziedzinach sztuki. Pisząc o pejzażach Cézanne'a, o wzruszeniu, jakie wzbudzają, wypowiada pochwałę: **„obecność ludzka tam nie pośredniczy"**. Nie chodzi mu o eliminowanie człowieka, lecz o zdyscyplinowanie uczuć, o poddanie ich prawom sztuki, o wprowadzenie wzruszenia w głąb, poza temat. Według Ramuza Cézanne to — „uczucie tak wielkie, tak działające, tak częstokroć szlachetne, że aż powstrzymywane, podczas gdy inni uczucie lekceważą i znając je niewiele, rozpraszają je powierzchownie w układzie i w ‚temacie'".

Sztuka nowoczesna przezwyciężyła największy opór, jaki stał na jej drodze: **opis**. W malarstwie przeżycie artystyczne daje forma widzenia, a nie temat, który o nim opowiada. Poeci nowocześni zaś „zamykają sytuację liryczną" — pisze **Julian Przyboś** — „nie w obrazach statycznych, opisujących okoliczności wzruszenia, lecz w dynamicznym obrazie w biegu, w wizji jak koło zamkniętej, a jak koło toczącej się po torze wzruszenia". Określenie poezji przez Przybosia bliskie jest określeniu malarstwa przez Matisse'a: **„jest sprawą wyobraźni poruszonej przez uczucie"**.

Między nowoczesnym malarstwem a poezją, mimo odmiennych sposobów wyrażania wzruszeń, istnieje porozumienie zasadnicze: wdzierać się w głąb ludzkiej wrażliwości i nie kopiować najlepszych nawet wzorów. Bo nie chodzi o dostarczenie pewnej ilości utworów czy płócien (można przecież drukować i reprodukować już istniejące), lecz o tworzenie nowych, doskonalszych form dla nowych wzruszeń. A to jest rzecz jak najbardziej ludzka.

Nie hamowanie rozwoju, lecz doskonalenie wrażliwości człowieka — oto jedyne ważne dla przyszłości sztuki zagadnienie społeczne. Jedyną zaś drogą do upowszechnienia kultury jest oświata.

„Przegląd Artystyczny" może spełnić rolę kształcenia społeczeństwa w zagadnieniach plastyki. Artykuł **Tadeusza Dobrowolskiego** zbliża przystępnie i fachowo widza do Olgi Boznańskiej, której wystawa pośmiertna jeszcze trwa. Zamiast artykułu „W hołdzie Matisse'owi", złożonego ze zdawkowych wypowiedzi francuskich malarzy, przydałoby się jakieś studium wprowadzające w twórczość tego malarza.

Na przyszłość warto, by „Przegląd Artystyczny" poświęcał nieco miejsca szkolnictwu plastycznemu, które przecież podlega Ministerstwu Kultury i Sztuki (nie Oświaty) i pozostaje przez to w ścisłych stosunkach ze Związkiem Zawodowym Plastyków. O szkolnictwie plastycznym dowiadujemy się wyrywkowo i niepełnie. Ostatnio o powstaniu Gdańskiej Szkoły Sztuk Pięknych doniósł „Wiatr od Morza", miesięcznik „poświęcony polskiej kulturze marynistycznej". Pismu temu należy się uwaga.

„Wiatr od Morza" jest jeszcze jednym pismem o charakterze regionalnym (jak „Odra", „Arkona", „Zdrój"), pismem bardzo potrzebnym, chociażby ze względu na region, który ma obsługiwać. Numer pierwszy, który się ukazał, jest zredagowany z rozmachem. Redakcja bardzo trafnie połączyła sprawy aktualne z zagadnieniami kultury w ogóle. Szczęśliwie ominięto szablon, który się sam narzucał, związania się wyłącznie tematyką morską. (Pamiętamy chociażby przedwojenną antologię poezji morskiej, gdzie umieszczono bez ładu i składu wszystkie utwory, w których „morze" się wymawiało).

„Wiatr od Morza" zawiera np. prace o Conradzie (**Jana Dobraczyńskiego** i **Anny Gałczyńskiej-Folkierskiej**). Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Conrad był jednym z najpoczytniejszych pisarzy w latach okupacji. Dramat wewnętrzny jego bohaterów był dla jednych ucieczką przed rzeczywistością, dla innych poszukiwaniem instynktownego utwierdzenia się w potrzebie przede wszystkim „wierności samemu sobie". Jest rzeczą naturalną, że wolność skłania jednych do przezwyciężenia „kompleksu" Conrada, innych zaś do utwierdzenia się w nim. Przypominamy, że o Conradzie pisał już **Jan Kott** w „Twórczości" i **Adam Podkowiński** w „Życiu Literackim".

Ponadto „Wiatr od Morza" zawiera prace poświęcone Kaszubszczyźnie (m. in. **Mieczysława Zydlera)** oraz artykuły poświęcone historii Polski na Pomorzu **(Marcina Dragana** „Myśl szczecińsko-bałtycka Kazimierza Wielkiego").

Dział sprawozdawczy informuje szczegółowo o życiu kulturalnym na wybrzeżu. Dowiadujemy się, iż istnieją tam: Klub Literacki, Związek Plastyków (w Sopocie), dwa teatry (w Gdyni i Sopocie) oraz nawet Filharmonia Bałtycka. Imprezy cieszą się podobno powodzeniem, a teatry mają repertuar wcale ambitny (np. „Jutro" Conrada).

zb

Nie dobrze

Znajomość łaciny już wychodzi z użycia. **Witold Kula** w polemice z prof. A. B. Dobrowolskim („Uwagi o kwestii niemieckiej", „Kuźnica", nr 3) kilka razy pisze „genus proxi**mus**" zamiast proximum, i nikt tego nie wypomniał, nawet wścibskie „Szpilki". **Irena Pannenkowa** rozważa „Imponderabilia w polityce" („Tygodnik Warszawski", nr 5) i kończy błędnie: „Takie jest imponderabi**lium** historii" (zamiast „imponderabile"). Na łódzkim zjeździe oświatowym jeden z kuratorów miał na myśli pacyfizm a mówił „pacyfikacja" — póki mu ze strony prezydium nie pośpieszono z dyskretną pomocą.

Co będzie, gdy do aktywnej roli dojdą wychowankowie dzisiejszej szkoły z okrojoną łaciną?

js

Przerwać tę serię

„Przekrój" nie ustaje w pomysłowości nie zawsze szczęśliwej. „Kodeks miłości" Moliera w przekładzie i z komentarzem Tomasza Kędzierskiego ma wartość bibliograficzną i istotnie „wyróżnia się wyjątkowym wdziękiem i dowcipem". Dalecy od pruderii nie mielibyśmy nic przeciw swywolności molierowskich aforyzmów. Ale przynajmniej niektóre fragmenty budzą zastrzeżenia. „O dotyku: Ileż przyjemności, ileż rozkoszy daje zakochanym zmysł dotyku!" „O ataku i obronie: Kobieta rzeczywiście mądra będzie trudna, ale nie nieprzystępna" („Przekrój", nr 42). Redakcja znalazła tak wielkie upodobanie w „zbiorze przepisów, definicyj, reguł i zasad dotyczących sztuki kochania i rozkochiwania", że dalszą serię złotych myśli podała w nr 44.

Co więcej, dodała nadto „Mały słowniczek miłosny", który stoi pod znakiem... buduaru. Bardzo budujący i wyszukany jest np. pod hasłem „kanapa": — „Po lustrze najważniejszy sprzęt w buduarze", albo pod „Noc" — „część doby zbyt widna dla niektórych nowożeńców".

Dla kogo się odgrzewa tę strawę? Może dla dzieci, dla których rozpisano równocześnie konkurs na rysunki (do lat 13) „za zgodą Ministerstwa Oświaty"?

A może dla uderzającej zgodności atmosfery moralnej, która bije z tych aforyzmów z pojęciami młodych warstw społecznych. Im właściwy jest rygoryzm obyczajowy. Wyznają też zupełnie inny pogląd na stanowisko społeczne kobiety.

Na klimat buduarów nie ma współcześnie żadnego miejsca.

js

KORESPONDENCJA

JESZCZE O NIETOPERZU

Do redaktora „Odrodzenia"

W notatce „O słowianizmach" („Odrodzenie", nr 62) Jerzy Ficowski wyraził przypuszczenie, że nietoperz „odgrywał jakąś rolę w kulcie czy w praktykach czarnoksięskich i stąd jego nazwa".

Nie znam fachowej literatury wieszczbiarskiej, więc nie wiem, co się tam o tej sprawie pisze. Stwierdzić jedynie mogę, że u ludu białoruskiego panuje przekonanie, że popiół spalonego nietoperza (każana), podany do wypicia razem z jakimś płynem, ma własność wzbudzania miłości w nieczułym dotąd partnerze. Przypuszczam, że w klasycznej pracy M. Federowskiego „Lud białoruski" coś by się o tym znalazło. Zresztą i na starych ilustracjach wyobrażających wnętrze „pracowni" wróżek itp. figurują zwykle obok sów i nietoperze, muszą więc one mieć coś wspólnego z praktyką czarnoksięską.

Pewne wątpliwości natomiast budzi we mnie przytoczony przez autora notatki wywód etymologiczny: „nietoperz" znaczy „ni to ptak" („ni to pyrz"). Nie jestem językoznawcą i nie mam czasowo dostępu do żadnych bibliotek, gdzie mógłbym zobaczyć, jak ta kwestia wygląda w „Słowniku etymologicznym", więc tylko wysuwam swe prywatne pytanie laika: „czy „nietoperz" nie znaczy raczej „niedopierz" („niedopierzony")? Nazywają go wszak i „niedoperzem".

Leonard Podhorski-Okołów (Brwinów)

Od redakcji: „Słownik etymologiczny" Aleksandra Brucknera podaje:

„**Nietoperz,** mylnie **niedoperz,** r. 1472 **nietopyrz.** Nie ma u Słowian drugiej nazwy złożonej, co by na tyle zniekształceń się naraziła, jak ta; w pierwszą część wstawiają i **lato-** (od **latania)** i **meto-** i **szeto-** itd.; drugiej nie tykają; są i inne nazwy dla zwierzątka: u Stanka 1472 r. np. **kożekrził** (tj. ‚z skrzydłami skórzanymi', p. **koża**), z czeskiego. Postać pierwotna, u nas ta sama co w cerk., znaczy: ‚to nie ptak' (więc „niby ptak"); por. **nietota; pyrz** (albo **ptyrz)** nazwa ogólna dla ‚ptactwa'; serb. **pirac** i **pirczac,** ‚nietoperz'."

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Baszłowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 08064 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".